

A stylized illustration of a person in a dark purple hooded robe, seen from the side, looking up towards a bright opening at the end of a dark, tunnel-like passage. The person is holding a thick, braided rope. In the distance, a large stone cross is set into the floor of the passage. The opening at the end reveals a bright blue sky with white clouds. The overall style is reminiscent of comic book art.

ROBERT M. RYNKOWSKI

BICZ PANA

INI
ZS

BICZ PANA

ROBERT M. RYNKOWSKI

BICZ PANA



Warszawa 2024

[Kup książkę](#)

Copyright © 2024 by Robert M. Rynkowski

Redakcja techniczna
Jacek Pietrzak

Ilustracja na okładce
Krzysztof Kałucki

ISBN: 978-83-971245-1-6

Wydawnictwo „Złamana Sosna”
Wydanie I
Warszawa 2024

[Kup książkę](#)

Spis treści

Gorące posiedzenie.	7
Szalik	19
Opowieść o młynie.	36
Kawiarniana rozmowa	64
Wandal cmentarny	71
Kamień zawiesić u szyi.	91
Szuler	97
Kazanie pierwsze.	112
Wdowa.	117
Klementyna Koza.	128
Kamienica pod Zegarem	150
Tej nocy zażądają twojej duszy	165
Kazanie drugie	173
Kto się wywyższa, będzie poniżony.	177
Kazanie trzecie.	192
Ciężki dzień wiceministra	196
Szajba	204
Góra Emmanuela.	212
Walki uliczne.	232
To nie tak, jak się wydaje....	240
Hanka	250
Dozorca	263
„Ekspres Suwalski”.	268
Człowiek w czerni	283
Przesłuchanie	313

Koniec śledztwa	325
Nieudany makijaż	329
List	335
Kazanie czwarte	343
Oaza	347
Szatański plan	379
Diabeł	394
Wszystko będzie dobrze	414
Spowiedź Szajby	425
Nowe porządki.	433
Ostatni rejs.	437
Zakończenie	442
Posłowie	444

Gorące posiedzenie

Wiceminister spraw wewnętrznych Przemysław Nowak do budynku Sejmu zmierzał z duszą na ramieniu. Odkąd po powrocie Silnej Polski do władzy – w wyniku przekupienia przez kierownictwo tej partii kilku posłów z innych formacji, w tym również jego – objął funkcję ministerialną, nie lubił bywać w parlamencie. Zwłaszcza gdy musiał przedstawiać jakąś ustawę czy bronić jej z mównicy sejmowej. Dobrze wiedział, że na jego potknięcie niecierpliwie czekają nie tylko zawistni dawni koledzy z obecnej opozycji, lecz także posłowie z koalicji rządowej. Taki Tymoteusz Dornik, były sekretarz stanu odpowiedzialny za Policję, który musiał zgodzić się na odstąpienie nowemu sojusznikowi stanowiska i objęcie nic nieznaczącej funkcji wiceministra od obrony cywilnej i straży pożarnej, na pewno chętnie wróciłby do dawnej roli. Od tego, czy dzisiaj Przemysław Nowak będzie skuteczny w walce o zmiany w ustawie o Policji, wiele zależało. Pieniądze zawsze najlepiej zjednywały przychyłność funkcjonariuszy. Niestety, oprócz opozycji musiał przekonywać również posłów koalicji, którzy często nie rozumieli tej podstawowej zasady. Stawka tej gry mogła być bardzo wysoka – jego ministerialny stółek.

Energicznym ruchem otworzył ciężkie szklane drzwi z wielką mosiężną gałką osadzoną w metalowej ramie i wszedł do środka. Ominął bramkę pirotechniczną, strażnicy marszałkowscy nawet nie mrugnęli. Posłów i ministrów raczej nie sprawdzali, może jedynie na początku kadencji, gdy jeszcze nie wszystkich znali. Od razu pobiegł do sali sejmowej, by zająć miejsce w tak zwanym tramwaju, czyli dość długiej, a niezbyt szerokiej łoży, w której na wyłożonych zieloną tkaniną fotelach siedzieli członkowie rządu. W samą porę, bo na swoim miejscu w prezydium sadził się marszałek, siwiejący mężczyzna w sile wieku. Premier zajął już swój fotel z przodu tramwaju, a przewodniczący Silnej Polski – ten w pierwszym rządzie ław poselskich otaczających znajdującą się przed prezydium mównicę. Po chwili marszałek otworzył posiedzenie i trzykrotnie stuknął laską marszałkowską. Wiceminister często zastanawiał się, dlaczego to stukanie wymaga tyle wysiłku. Postanowił, że kiedyś spróbuje, jak podoła temu zadaniu. Teraz jednak musiał skupić się na tym, co działo się w sali.

Po wygłoszeniu standardowych formuł o wyznaczeniu sekretarzy posiedzenia, przyjęciu protokołów poprzednich posiedzeń, powitaniach, zapowiedzi, ile będą trwały oświadczenia klubów, marszałek przeszedł wreszcie do właściwej części obrad.

— Szanowni państwo, przystępujemy do rozpatrzenia punktu pierwszego porządku obrad: ustawa w sprawie poprawienia sytuacji w Rzeczypospolitej Polskiej. Proszę sprawozdawcę, posła Bogdana Karuta, o zabranie głosu.

Kiedy szczupły trzydziestokilkulatek dziarskim krokiem zmierzał do mównicy sejmowej, wiceminister Nowak nerwowo sięgnął do skórzanej teczeki. O ile pamiętał, jego ustawa o Policji miała być rozpatrywana w punkcie pierwszym.

— Szanowny Panie Marszałku! Wysoka Izbo! – zaczął sprawozdawca silnym głosem. Odruchowo zerknął na Nowaka, jakby spodziewając się jego wspierającego spojrzenia. Musiało go zdziwić, że wiceminister, zamiast interesować się przemówieniem, nerwowo obraca trzymaną w rękach kartkę i z niedowierzaniem patrzy na tablicę, na której wyświetla się tytuł rozpatrywanej ustawy. – Mam zaszczyt przedstawić sprawozdanie Komisji Lepszej RP o rządowym projekcie ustawy w sprawie polepszenia sytuacji w Rzeczypospolitej Polskiej. Komisja rozpatrzyła tę ustawę i przygotowała swoje sprawozdanie; druki odpowiednio numer tysiąc dwieście dwadzieścia dziewięć i tysiąc dwieście trzydzieści. Komisja Lepszej RP po przeprowadzeniu pierwszego czytania i rozpatrzeniu tego projektu na posiedzeniu w dniu 3 marca bieżącego roku wnosi, by wysoki Sejm raczył uchwalić załączony projekt ustawy. Nie będę się rozwodził, bo ustawa jest prosta i oczywista. Może ją przeczytam: „Artykuł pierwszy. W Rzeczypospolitej Polskiej ma być lepiej. Artykuł drugi. Ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia”. Ustawa jest w ogóle niekontrowersyjna i dziwię się państwu z opozycji, że mają zastrzeżenia.

— Nikt nie rozumie, co wy wyprawiacie! – zawołała z sali młoda posłanka.

— Powiem pani, pani poseł – zareagował sprawozdawca – że były przeprowadzone badania i okazało się, że 95% respondentów było za tym...

— ...żeby było lepiej – dopowiedziała ta sama parlamentarzystka.

Półowa sali gruchnęła śmiechem.

— Nie wiem, dlaczego to państwa bawi – autentycznie oburzył się sprawozdawca. – Taka ustawa jest naprawdę

bardzo potrzebna. Będzie ona wskazywała wszystkim kierunek ich działań, określała pewien paradygmat. Chciałbym też podkreślić bardzo dobrą współpracę z panem ministrem Przemysławem Nowakiem. Odpowiedział na nasze wątpliwości...

Wiceminister czuł, jak płoną mu policzki, gdy setki oczu, bo sala obrad była pełna, co prawie się nie zdarzało, zwróciły się na niego. Na wszelki wypadek jeszcze raz zerknął na trzymaną w drżących dłoniach kartkę. Od czasu, gdy czytał ją parę minut temu, informacja na niej zapisana się nie zmieniła: on, Przemysław Nowak, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, jest odpowiedzialny za ustawę w sprawie polepszenia sytuacji w Rzeczypospolitej Polskiej.

— To mieliście jakieś wątpliwości co do tak dobrej ustawy? — Z sali dobiegł tym razem męski głos.

— To tylko wy z góry wszystko wiecie najlepiej — odparował sprawozdawca. — My w przeciwieństwie do was myślimy o tym...

— ...żeby wam było lepiej — dokończyła znowu młoda posłanka, a ta sama połowa sali ponownie ryknęła śmiechem.

— Szanowni państwo, proszę o spokój! — podniesionym głosem zareagował marszałek. — I proszę nie polemizować. Proszę, panie sprawozdawco.

— Współpraca z panem ministrem była bardzo dobra, czego nie można powiedzieć o współpracy z opozycją, która zgłosiła wniosek o odrzucenie projektu ustawy oraz poprawki. Dziękuję bardzo.

— Dziękuję bardzo, panie pośle — zwrócił się do sprawozdawcy marszałek. — Jak już mówiłem, Sejm ustalił, że w dyskusji nad tym punktem porządku obrad wysłucha

pięciominutowych oświadczeń w imieniu klubów. Otwieram dyskusję. W imieniu klubu Silna Polska głos zabierze poseł Kazimierz Mamrot. Proszę bardzo, szanowny panie przewodniczący.

— Po co ta wazelina – rzucił ktoś z sali.

— Zwracam panu uwagę, panie pośle! – ryknął oburzony marszałek. – Proszę bardzo, panie przewodniczący.

Na mównicę wszedł wysoki, zwalisty sześćdziesięcikilulatek ze sporą nadwagą, którego okrągłą, dobrotliwą twarz zdobił szeroki bulwiasty nos, a głowę – bujna grzywa siwych włosów. Jego wygląd kazał myśleć o nim jako o niegroźnym rubasznym satyrze, nie zaś najpotężniejszym człowieku w kraju. Wiceminister wiedział jednak, jak bardzo mylił się ten, kto dał się zwieść pozorom.

— Szanowny Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Mam zaszczyt w imieniu klubu Silna Polska zabrać głos na temat ustawy w sprawie polepszenia sytuacji w Rzeczypospolitej Polskiej. Na początku chciałbym podziękować za sprawną pracę w komisji i bardzo dobrą współpracę z rządem, zwłaszcza z panem ministrem Przemysławem Nowakiem. – Poseł odwrócił się w kierunku adresata tych słów, a ten poczuł żar rozlewający się po całym ciele. – Chciałoby się, żeby tak samo dobra współpraca była z opozycją. Za przyjęciem sprawozdania głosowało dwudziestu posłów, przeciw dziesięciu. Wbrew temu, co mówi opozycja, ta ustawa ma bardzo duże, ogromne znaczenie. Ona naprawdę wskaże wszystkim kierunki działania. Dodam, że projekt ustawy nie jest sprzeczny z prawem Unii Europejskiej. Proszę Wysoką Izbę o przyjęcie tej ustawy. Jednocześnie w imieniu klubu Silna Polska składam na ręce pana marszałka wniosek o niezwłoczne przystąpienie do trzeciego czytania

projektu ustawy, bez odsyłania do komisji poprawek i zgłoszonych wniosków. Dziękuję bardzo.

— Dziękuję bardzo, panie przewodniczący. – Marszałek uprzejmie zwrócił się do Kazimierza Mamrota. – W imieniu klubu Odpowiedzialność głos zabierze pani poseł Martyna Gliniecka-Padecka.

— Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Minęły ledwie dwadzieścia cztery godziny od momentu, kiedy ten idiotyczny projekt pojawił się na stronie sejmowej. Chociaż może tyle wystarczy na coś takiego... Powiem krótko: tak bezsensownej ustawy jeszcze nie było. Nasz klub nie popiera i nie poprze tego kuriozum legislacyjnego. Dziękuję bardzo.

— Dziękuję. W imieniu klubu Praworządne Państwo głos zabierze pani poseł Zofia Klipecka.

— Panie Marszałku! Wysoka Izbo! My nie uważamy, że ta ustawa nie może być przyjęta. Jeśli tak się stanie, po prostu będzie pustym zapisem. Niech sobie będzie, chcącemu nie dzieje się krzywda. Ale nie można wprowadzać nawet takich ustaw, które nie mają żadnej treści, z naruszeniem zasad legislacji. Dlaczego nie określono chociaż minimalnego *vacatio legis*? Dlatego podtrzymujemy poprawkę, którą złożyliśmy w komisji: ustawa wchodzi w życie trzydzieści dni od dnia ogłoszenia. Dziękuję bardzo.

— Dziękuję – powiedział marszałek. – W imieniu klubu Wraz głos zabierze pan poseł Bazyl Wesolek.

— Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Ja odniosę się do pierwszego artykułu ustawy, który mówi, że w Rzeczypospolitej ma być lepiej. Ale on nie mówi, komu ma być lepiej. Więc ja zapytam: państwo z Silnej Polski, komu w Rzeczypospolitej ma być lepiej? Wam i waszym zwoleńnikom ma być lepiej? Waszym rodzinom ma być lepiej?

A może Kościołowi, biskupom i księżom ma być lepiej? Powtarzam: komu ma być lepiej? Bo jeśli dopiszecie – jeśli chociaż tyle dopiszecie – że lepiej ma być kobietom, bezrobotnym, osobom LGBT+, to klub Wraz wstrzyma się od głosu. W przeciwnym razie będziemy głosować przeciw. Dziękuję bardzo.

— Przechodzimy do pytań – zarządził marszałek.

Wiceminister Przemysław Nowak zrobił się błądy jak ściana. Na wszelki wypadek jeszcze raz przeszukał teczkę i spojrzał na kartkę. Ponieważ nadal nic się nie zmieniło, omiotł wzrokiem salę, jakby spodziewał się, że właśnie stamtąd przyjdzie ratunek. Nic takiego się nie stało, a siedzący najbliżej ław rządowych jego kolega z ministerstwa Tymoteusz Dornik, który był dzisiaj zwykłym posłem, bo nie miał żadnej ustawy do omówienia, zerkał na niego z ironicznym uśmiechem na ustach.

— Do zadania pytań zgłosiło się trzech posłów – ciągnął marszałek. – Zamykam listę pytających i wyznaczam czas na zadanie pytania: trzydzieści sekund. Pytanie zadaje pani poseł Klementyna Jachocka, Odpowiedzialność.

— Wysoka Izbo! Zadam proste pytanie: czy rząd naprawdę uważa, że ta ustawa ma sens? Tylko tyle. Albo aż tyle. Dziękuję bardzo.

— Tak krótko? – zdziwił się marszałek. – Pytanie zadaje Zdzisław Porębski, Praworządne Państwo.

— Wysoka Izbo! Mam tylko jedno pytanie: czy rząd skonsultował ustawę z partnerami społecznymi? No bo każda taka ustawa powinna być z nimi skonsultowana, to chyba oczywiste. Dziękuję bardzo.

— Dziękuję. Pytanie zadaje poseł Karol Suchecki, Odpowiedzialność.

— Wysoka Izbo! Zapytam bardzo konkretnie, choć ustawę uważam za bezsensowną. A jakie są środki na realizację tej ustawy? Macie na to jakieś pieniądze? Czy jeśli ja będę chciał zrobić coś, co w moim przekonaniu spowoduje, że będzie lepiej, to dostanę na to środki? A jeśli tak, to skąd? Dziękuję bardzo.

— Dziękuję bardzo. – Marszałek podziękował mówcy.
– Lista posłów zapisanych do pytań została wyczerpana. Na pytania będzie odpowiadał sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji Przemysław Nowak. Proszę bardzo.

— Jakiś błąd pan minister – rzucił któryś z posłów.

— Może wody – dorzucił inny.

Tu i ówdzie ktoś zachichotał.

Przemysławowi Nowakowi do śmiechu jednak nie było. Idąc do mównicy, miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Zwłaszcza gdy widział złośliwy grymas na twarzy Tymoteusza Dornika. Chociaż może bardziej niepokoiły go uważne spojrzenia ministra spraw wewnętrznych, który niedawno usiadł obok premiera, i samego szefa rządu.

— Proszę, panie ministrze, proszę – popędził marszałek.

— Też bym się nie śpieszył – znowu krzyknął ktoś z sali.

— My nie jesteśmy wami – odkrzyknął ktoś inny.

— Panie Marszałku! Wysoka izbo! – odezwał się w końcu wiceminister, gdy już stanął przy mikrofonach. – Starałem się zapisać państwa pytania... – powiedział z wahaniem, bo nie do końca była to prawda. Na leżącej na pulpicie kartce znajdowało się parę nabazgranych w pośpiechu słów, których teraz nie potrafił odczytać, bo okulary zostawił na swoim miejscu w tramwaju rządowym. – Będę odpowiadał w miarę możliwości krótko. Pierwsze pytanie... – Zaciął się.

— Czy ustawa ma sens? – litościwie podpowiedziała posłanka Klementyna Jachocka.

— Czy ustawa ma sens? – powtórzył, czując jednocześnie, że z czoła zaczyna spływać mu pot. – Oczywiście, że... oczywiście, że... że nie...

— Brawo, w końcu ktoś powiedział prawdę! – wrzasnął któryś z posłów, a sala wybuchła śmiechem. Śmiali się nawet niektórzy posłowie z koalicji rządowej. Za to minister i premier mieli coraz bardziej ponure miny.

— Oczywiście, że nie jest tak, że jest bez sensu – spróbował wybrnąć Nowak. – W końcu wszyscy tego chcemy... – Ponownie zawiesił głos, szukając odpowiednich słów.

— Żeby nie była bez sensu? Ale jest – włączył się jakiś poseł, a na sali znów rozbrzmiały chichoty.

— Chcemy... chcemy, żeby było lepiej – z trudem dokończył wiceminister. – Uważamy... że... uważamy, że dzięki tej ustawie...

— Będzie lepiej – ktoś dokończył za mówcę, czym wywołał salwę śmiechu.

— Tak... To znaczy nie... – Wiceminister zaciął się i pocił coraz bardziej.

— To tak czy nie? – padło z sali pytanie.

— To... to pierwszy krok w drodze. Za nią pójdą kolejne kroki... pójdą ustawy, które wskażą konkretne cele i środki. No... no, musimy zrobić ten pierwszy krok, żeby... żeby po nim mogły być następne kroki. Kolejne pytanie... Zaraz... moment... – Wiceminister począł wpatrywać się w bazygroły na kartce.

— Konsultacje. Czy konsultowaliśmy to z rządem... – szeptem podpowiedział Tymoteusz Dornik.

— Czy konsultowaliśmy tę ustawę z rządem... – Wiceminister błyskawicznie powtórzył słowa kolegi.

Sala ryknęła śmiechem i rozległy się brawa. Skonsternowany Nowak przez chwilę nie wiedział, co było przyczyną tej niespodziewanej wesołości. Gdy w końcu to sobie uświadomił, zrobił się czerwony jak burak.

— Czy konsultowaliśmy ją? – wystękał w końcu, z nienawiścią patrząc na Dornika. – Tak... Wszyscy wypowiedzieli się o niej pozytywnie...

— Pewnie zwłaszcza rząd – rzucił poseł Zdzisław Porębski, a pozostali parlamentarzyści zanosili się śmiechem.

— Tak... to znaczy nie. Oczywiście... oczywiście partnerzy społeczni byli... byli za tym, żeby weszła jak najszybciej. Kolejne pytanie to pytanie o... o koszty – przypomniał sobie. – To jest ustawa bezkosztowa – wyrzucił z siebie z ulgą.

Połowa sali znowu pokładała się ze śmiechu.

— Proszę się nie śmiać – skarcił posłów bardziej zdecydowanym głosem.

— Panie ministrze, w komisji mówił pan coś innego – z autentycznym zdziwieniem zauważył poseł Porębski.

Skonfundowany wiceminister, który nie miał zielonego pojęcia, co mówił w komisji, tym bardziej że nie pamiętał, by w ogóle uczestniczył w jej posiedzeniu, ze strachem spojrział na przewodniczącego Silnej Polski. Kazimierz Mamrot nie przypominał już rubasznego satyra, ale wściekłego boga wojny. Prawdopodobnie kariera ministerialna Nowaka właśnie dobiegała końca.

— To znaczy bezkosztowa w tym sensie... w tym sensie, że koszty będą... no, minimalne. No bo to takie wskazanie każdemu z nas, co ma robić. Ale oczywiście środki na jej

realizację są... to znaczy są zabezpieczone w budżecie. Dziękuję bardzo.

— Ale jakie? Ile? Gdzie one są? W której pozycji w budżecie? – dopytywał coraz bardziej rozbawiony poseł Porębski.

Wiceminister zrobił się purpurowy z wściekłości i bezsilności.

— Panie pośle, to jest... to jest w rezerwie ogólnej – spróbował użyć formuły, jakiej zawsze się używało, gdy nie było wiadomo, z czego coś się sfinansuje. – Ale jeszcze raz powtarzam, że koszty będą... to znaczy będą minimalne. No, to przecież chodzi o to... No, jeśli będzie pan grał... na przykład w pasjansa, zamiast uczestniczyć w obradach... No to przecież wiadomo, że dzięki temu w Polsce nie będzie lepiej. Czyli... no, nie realizuje pan tej... tej naszej ustawy. Czyli nie przestrzega pan przepisów prawa...

— To może powinny być przepisy karne? Tak z dziesięć lat więzienia... – rzucił ktoś z sali.

— No... no, nie wykluczamy tego. Jeśli potrzebna będzie taka nowelizacja... no to ją po prostu rozważymy. Dziękuję bardzo – z wielką ulgą zakończył Przemysław Nowak i zbiegł z mównicy.

I premier, i przewodniczący Kazimierz Mamrot patrzyli na niego jak na kogoś niespełna rozumu.

— Dziękuję bardzo – z wahaniem odezwał się marszałek, wyraźnie skonfundowany tym, co przed chwilą usłyszał. – Zamykam dyskusję. W dyskusji został zgłoszony wniosek, żeby przystąpić do trzeciego czytania, bez odsyłania projektu ustawy do komisji. Jeśli nie usłyszę sprzeciwu... Jest sprzeciw?

— Tak – zawołała głośno poseł Martyna Gliniecka-Padecka. – Tak bezsensownej ustawie trzeba się sprzeciwić.

— To dlaczego wychodzicie? – zapytał jeden z posłów.

— Bo nie możemy patrzeć na waszą głupotę – odpowiedziała opuszczająca salę posłanka.

— W takim razie przystępujemy do głosowania... – zarządził marszałek.

Przemysław Nowak nie dowiedział się, jaki był jego wynik. Dyszał jak miech kowalski i usiłował złapać powietrze. Cały zlany był potem. Ostrożnie odrzucił kołdrę, żeby nie obudzić śpiącej obok żony, i wstał z łóżka. Poszedł do kuchni i nalał pełną szklankę wody. Wypił ją niemal jednym haustem. Bezwzględnie potrzebował odpoczynku i odprężenia, oderwania się choć na kilka godzin, na dzień od obowiązków, od pracy, od żony i dzieciaków. Miał tego wszystkiego serdecznie dosyć: papierów, narad i współpracowników, których szczerze nienawidził, zresztą pewnie z wzajemnością. Odpoczynek mu się należał.

Ale ten dziwny sen to nie był tylko zwykły koszmar. To ostrzeżenie, nie miał co do tego wątpliwości. Jeśli chciał zostać na powierzchni, musiał zrobić to, co powinien zrobić już dawno. Za długo zwlekał, odkładał sprawę na później. Błyskawicznie podjął decyzję. Rano weźmie się do działania. W głowie zaczynał rodzić się plan. Czas rozprawić się z tymi, którzy tylko czekali na jego najmniejsze potknięcie, żeby rzucić się na niego niczym wygłodniałe hieny. Wyprzedzi ich, nie pozwoli się podejść, zaskoczyć. Będzie pierwszy i to on, tak jak zawsze, będzie zwycięzcą. A przy okazji załatwi sobie trochę rozrywki i relaksu. W końcu coś mu się od życia należało.

Szalik

Gdy zobaczył ją w drzwiach, nie udusił tylko dlatego, że zaintrygowało go jej nieco inne niż zwykle zachowanie. Co prawda rzadko zdarzało mu się spotykać ją rano, bo zazwyczaj to ona rozpoczynała pracę wcześniej niż on, ale gdy do takiego wczesnoporannego spotkania dochodziło, Sonia sprawiała wrażenie, jakby ciągle spała. Dzisiaj była o wiele bardziej energiczna, ściągnięte brwi świadczyły o tym, że o czymś intensywnie myśli.

— Koleżanka zaraz pana obsłuży – zwrócił się głośno do młodego mężczyzny niecierpliwie bębniącego palcami w kontuar.

Ten w odpowiedzi pogardliwie wydmął usta i już szykował się, żeby wypowiedzieć równie miłą uwagę jak te, którymi raczył Jacka od dobrego kwadransa, gdy przyszedł i zażył sobie, by pokazywać mu różne karty pamięci w tym samym czasie, gdy dwóch innych klientów na zmianę starało się opowiedzieć o problemach z przyniesionymi do naprawy komputerami, lecz gdy rzucił okiem na Sonię, jedyną reakcją, na jaką się zdobył, było odprowadzenie jej zbaraniałym spojrzeniem. Nic dziwnego, bo dziewczyna była dzisiaj ubrana w wyjątkowo obcisłe spodnie, które znakomicie podkreślały

jej ponadprzeciętnie zgrabną figurę. Mina sugerowała, że nie w głowie jej teraz zajmowanie się pracą, lecz gromiący wzrok Jacka sprawił, że szybko zdjęła krótką kurtkę i stanęła naprzeciwko klienta. Ten dopytywał o różne modele kart chyba jedynie po to, żeby jak najdłużej móc zostać w sklepie. W końcu, wpatrzony bynajmniej nie w nośniki pamięci, wybrał ten, który najgorzej się sprzedawał.

Dzięki temu, że Jacek mógł się skupić na jednym kliencie, a dziewczyna wzięła na siebie wysłuchanie drugiego, po kilkunastu minutach zostali w serwisie komputerowym we dwoje. Złość na pracownicę już mu przeszła na tyle, że zrezygnował z postanowienia natychmiastowego jej zwolnienia, które zresztą podejmował przynajmniej kilka razy w miesiącu. Nigdy dotąd jej nie wylał i doskonale wiedział, że nie zrobi tego również dzisiaj. Nie dlatego, że lubił na nią patrzeć, zwłaszcza w ciepłe pory roku, gdy przychodziła do pracy w wyjątkowo krótkich spódniczkach, choć to bez wątpienia był jeden z mocnych argumentów za. Nie była idealnym pracownikiem: spóźniała się, wielu klientów, zapewne z powodu lekko zachrypniętego głosu i jakby leniwego sposobu mówienia, uważało ją za nieuprzejmą, zamiast pracować, czytała te swoje książki ze smokami, wojownikami i czarownikami na okładkach. A jednak przez nieco ponad dwa lata wspólnej pracy trochę nauczyła się o komputerach, nawet potrafiła przeprowadzić drobne naprawy, a co najważniejsze bez szemrania robiła to, co jej się poleciło, no i była bezgranicznie uczciwa. To prawda, że mógł zostawić zakład pod jej opieką i nie obawiać się, że nie będzie on funkcjonował albo że dziewczyna zniknie z jakimś cennym komputerem czy pieniędzmi, ale tak naprawdę... Sam nie wiedział, co to było. Coś go w niej intrygowało i nie chodziło o wyjątkową

urodę czy figurę. Może tak naprawdę była to ta niewidzialna ściana, która ich dzieliła, a która znikła jedynie w nielicznych momentach? To ona sprawiała, że nie nawiązywała się między nimi żadna mniej czy bardziej wyraźna nić porozumienia albo jakiejś sympatii. Nienawidził tej nieuchwytej przeszkody, a jednocześnie chyba nie chciałby, by ona zniknęła, bo to ona powodowała, że dziewczyna wydawała mu się tak interesująca.

Choć wiedział, że nie wyrzuci jej z pracy, ze swojej roli szefa, przynajmniej dla formalności, musiał się wywiązać.

— Co tym razem? – zapytał możliwie groźnym tonem. – Znowu czytałaś albo oglądałaś do rana i zasnęłaś czy...

Przyszedł mu na myśl co najmniej jeszcze jeden sposób spędzenia nocy, ale w porę ugryzł się w język. Nigdy nie pozwalał sobie, by w rozmowie z pracownicą przekroczyć granicę dobrego smaku. Zresztą świadomość, że facet, który od jakiegoś czasu przy niej się kręcił, ma pewnie większy obwód ramienia od obwodu Jackowego uda, skutecznie zniechęcała do żartów z podtekstem.

— No co pan! Spałam jak dziecko – oburzyła się.

Jacek odetchnął z ulgą. Na szczęście nie zauważyła jego zawahania.

— To o co chodzi? Prosiłem, żebyś była punktualnie, czy nie prosiłem?

— Prosiłeś – burknęła po dłuższej chwili, jak zwykle płynnie przechodząc na mówienie na ty. Pozwolił jej mówić do siebie po imieniu zaraz na początku ich współpracy, lecz nigdy nie mogła się zdecydować na jedną z dwóch form zwracania się do niego. – Ale... – Zacięła się.

Niewielka bruзда, która zarysowała się na czole, wskazywała, że bije się z myślami, czy wyjawić prawdziwy powód

spóźnienia. Trochę był go ciekawy, żywiąc nadzieję, że jest to coś innego niż telefon, który się rozładował i nie zadzwonił. Nie zamierzał jednak naciskać. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nic to nie da. Nie patrząc na nią, wziął się do pakowania przyniesionych przez klientów do naprawy laptopów.

— No... tym razem to taka trochę... że tak powiem, kryminalna sprawa – wydukała w końcu.

Drgnął, a krew w żyłach szybciej popłynęła. W myślach mówił do niej obojętnym tonem: „A, no tak. Wiesz, skoro już jesteś, to ja pojedę do domu z tymi gratami i w nich pogrzebię, a ty przypilnuj interesu”, po czym natychmiast wychodził. Jednak w rzeczywistości usta, wbrew sygnałom, które płynęły z mózgu, wypowiadały zupełnie inne słowa:

— Sprawa kryminalna, mówisz? No, w końcu coś oryginalnego, a nie prozaiczne „zaspałam”. Ale moment, chyba w nic się nie wplątała? – zapytał z autentycznym zacięciem, a jednocześnie niepokojem.

Oczami wyobraźni widział Damiana, bo chyba tak nazywał się chłopak Soni, w roli żołnierza mafii uczestniczącego w gangsterskich porachunkach i ją u jego boku. Tylko tego mu brakowało, by policja zainteresowała się jego pracownica, a przy okazji być może również nim oraz amatorskimi śledztwami, które prowadził i w wyniku których pociągał także za spust, co na pewno nie mogło spotkać się z aprobatą żadnego policjanta czy sędziego.

Spróbowała się uśmiechnąć. Rzadko jej się to zdarzało. W wypadku klientów właściwie nigdy, co tylko utwierdzało ich w przekonaniu, że życzliwości nie posiada w najmniejszym stopniu. Szef czasami na jakiś uśmiech mógł liczyć. Nie był pewien, czy Sonia wiedziała, że za jego pomocą jest

w stanie rozbroić każdą jego złość. Chyba nie, bo gdyby tak było, częściej by korzystała z tej swojej tajnej broni. Tak jak zawsze i tym razem okazała się skuteczna. Jacek zapomniał o resztkach swojej irytacji.

— Nie, ja nie – odpowiedziała powoli. – Ale... To trochę skomplikowane, żeby tak od razu wytłumaczyć... Zastanawiam się, od czego zacząć.

Bardzo dobrze wiedział, jak głupio robi, że będzie tego żałował. A jednak w to brnął. Geny odziedziczone po ojcu policjancie robiły swoje.

— To może zacznij od początku. Co to za sprawa kryminalna, która ci nie dała spać?

— Mówiłam, że się wyspałam. – Znowu się oburzyła. – Tylko że Hanka do mnie zajrzała przed szkołą...

— Jaka Hanka? – dopytał, bo nie kojarzył, żeby Sonia miała rodzeństwo w wieku szkolnym.

— No, to właśnie jest skomplikowane. To taka dziewczyna z klatki w moim bloku, do liceum zaczęła chodzić. Ja trochę nią się opiekuję, bo ona wychowuje się bez rodziców, tylko z babcią staruszką...

Jacek mimowolnie podniósł brwi w geście zdziwienia. O czymś takim podwładna nigdy mu nie opowiadała. Zauważyła jego zdumienie i od razu zareagowała.

— Pomagam jej, bo babcia ledwie sama się rusza, a jak ona była młodsza i taka zapłakana i zasmarkana po klatce chodziła, to mi się jej żal zrobiło. Czasem jej czytałam, pomogłam w lekcjach, teraz to nawet niekiedy coś do jedzenia kupię, bo za bogato to u nich nie ma. A wie pan, jak to jest: jak w ciuchach z marketu do nowej szkoły pójdziesz, to cię od razu za przegrywa uznają. Zwłaszcza w Jedynce, najlepszym liceum w Suwałkach, w którym są same dzieciaki

suwalskiej śmietanki. No, może przesadzam, bo ja też tam się uczyłam...

— A gdzie ta sprawa kryminalna? To ona w coś się wplątała? – indagował nieco zniecierpliwiony przeciągającym się opowiadaniem Jacek.

Choć z drugiej strony mógłby go słuchać w nieskończoność, bo lubił Sonię mówiącą dłuższymi zdaniami niż zwykle, właściwie bez swojej charakterystycznej chrypki i z pewnym zaangażowaniem. Niestety, nie zdarzało się to często.

— No właśnie miałam do tego przejść. Hanka wpadła dzisiaj do mnie niemal o świcie, bo dwa dni nie mogliśmy się złapać, pisała, że musi ze mną pogadać, ale coś innego miałam na głowie... – urwała gwałtownie, lekko się rumieniąc. – No, nieważne. Więc przyszła i zapytała, czy słyszałam o śmierci polonisty z jej szkoły. Bardzo go lubiła, choć nikt nie przepada za polskim, bo sam pan wie, jakie są te lektury, które trzeba czytać, jakieś nudne *Lalki* i *Przedwiośnia*, a do tego nauczyciele, którzy nie potrafią o nich nic ciekawego powiedzieć. Ale Tadek Śliwiński – no, Ted wszyscy na niego mówili – był naprawdę świetny. Mnie też uczył, to wiem. Supernauczyciel: i o tych nudach potrafił coś ciekawego powiedzieć, i czymś zainteresować. To dzięki niemu czytam, bo się nie bał na lekcjach o różnej literaturze mówić, także o fantasy.

Jacek pomyślał, że to wprawdzie dobrze, że dziewczyna w ogóle czyta, lecz lepiej byłoby, gdyby polonista przekonał ją do sięgania po cokolwiek poważniejszego niż opowieści o smokach i czarownikach. Owszem, wiedział, że literatura fantasy to Tolkien czy inni podobni giganci, ale powieści tych autorów w rękach Soni nigdy nie dostrzegł.

— Słyszałam o tej śmierci, od dwóch dni cały Internet huczy, bo facet był znany w Suwałkach, a nawet w Polsce

popularny – ciągnęła opowieść. – Tylko że miałam inne sprawy na głowie, czymś innym byłam zajęta i dopiero dzisiaj rano, jak Hanka wpadła, to sobie o tym przypomniałam.

— Coś mi się chyba obilo o uszy – włączył się Jacek. – Ale o ile wiem, to nie żadna sprawa kryminalna. Zaraz, jak to się stało? Motocykl, bo to chyba był zapalony motocyklista, szykował do sezonu i szalik, który miał na szyi, się wkręcił w koło? Nic nadzwyczajnego, takie przypadki się zdarzają. Jakaś słynna aktorka czy tancerka w ten sposób zginęła...

— Wiem – przerwała. – Isadora Duncan, poczytałam sobie o tym. Owszem, takie wypadki się zdarzają, nawet niedawno był podobny, bodaj na torze kartingowym szalik dziewczyna nawinął się na oś, o mało nie zginęła...

— No właśnie. To jaka tu sprawa kryminalna? – niecierpliwił się Jacek.

— Hanka twierdzi, że Ted tego dnia nie miał niczego na szyi. Fakt, on zawsze lubił okręcać się szalikami po czubek nosa, jak było zimno, twierdził, że ma wrażliwe gardło i musi dbać o głos, bo to jego największy skarb i narzędzie pracy. Ale Hanka widziała, jak wychodził wtedy ze szkoły. Jest pewna, że nie miał na sobie szalika. Poza tym tego dnia było gorąco. Pamiętasz, jak było ciepło przedwczoraj.

Pamiętał bardzo dobrze, bo przedwczoraj pierwszy raz tego roku dziewczyna przyszła do pracy w jednej ze swoich spódniczek.

— Ale o czym to świadczy? Zakładam, że jeśli miał szykować motocykl do jazdy, to się przebrał w inne ciuchy. Może pracował w jakimś zimnym garażu. Co w tym dziwnego, że okręcił szyję szalikiem, skoro tak się bał o głos?

— Do pracy przy motocyklu? – zapytała z powątpiewaniem. – Ted zawsze był bardzo ostrożny, wręcz przesadnie.

Wiesz, że pozdejmował wszystkie doniczki z kwietników na ścianach w swojej klasie, żeby nikomu nie spadły na głowę? To ktoś taki okręciłby szyję długim szalikiem, mając zamiar pracować przy motocyklu?

Jacek poczuł, jak w gardle robi mu się sucho, a serce zaczyna szybciej bić. Oczywiście, że tak dbający o bezpieczeństwo człowiek, doświadczony motocyklista nie mógł zginąć w tak głupi sposób. Ale nie miał zamiaru kolejny raz podejmować się rozwikłania rzekomej czy prawdziwej sprawy kryminalnej. Swoimi amatorskimi śledztwami sprowadził już na siebie oraz córkę dość kłopotów i nie wchodziło w grę ściągnięcie kolejnych.

— Wszystko to domysły oparte na założeniu, że ktoś czegoś nie mógł zrobić. Tylko że życie pokazuje, że najbardziej rozsądni ludzie są w stanie postąpić absurdalnie. Zresztą nad czym my tu się zastanawiamy. Od tego jest policja, żeby ustaliła, czy to był nieszczęśliwy wypadek, czy coś innego. Na pewno już się tym odpowiednio zajęli.

— Sam wiesz, że policja ma inne sprawy na głowie i najwygodniej im odpajkować, że nieszczęśliwy wypadek. Hanka nawet słyszała, że jakiś ważny policjant miał powiedzieć, że sprawa jest oczywista, że śmierć była wynikiem niefortunnego zbiegu okoliczności. Jak mi o tym wszystkim opowiedziała... Mówią, że facet nie zachował ostrożności, szalik wkręcił się w szprychy czy w łańcuch i po facecie. Ale on nie mógł być tak nierozważny. Naprawdę. Znałam go...

Tym razem rozsądkowi jakoś udało się dojść do głosu, bo usta Jacka wypowiedziały to, co rozum im podpowiadał:

— No dobrze, Soniu, to wiemy już, że nie wyładowany telefon spowodował twoje spóźnienie do pracy, tylko sprawa kryminalna, której nie ma, ale mniejsza o to. A teraz dobrze

by było popracować, bo nikt nam nie płaci za mielenie językami.

Jak powiedział, tak też zrobił, chociaż dziewczyna była wyraźnie rozczarowana nagłym zakończeniem rozmowy. Na szczęście zjawiała się klientka, którą musiała się zająć. On szybko zgarnął laptopy i skierował się do samochodu.

W drodze do podsuwalskiego Kaletnika, a raczej pod-kaletnickiej wsi, w której mieszkał wraz z córką, szybko przestał myśleć o sprawie rzekomego zabójstwa nauczyciela. W dobry humor wprowadzała go pogoda i panosząca się coraz bardziej wiosna. Był to kolejny w miarę pogodny i ciepły dzień po zimie, która tego roku sprawiała wrażenie wyjątkowo ponurej. Rzadko kiedy w ciągu kilku zimowych miesięcy zza chmur wyglądało słońce i ściszał mróz albo chociaż przymrozek. Najczęściej mżyło albo lał deszcz, ewentualnie padał deszcz ze śniegiem, wiało i było nieprzyjemnie zimno. Miał wrażenie, że ta zimowa szarość oblepiła i zszarzyła nie tylko świat, lecz również jego duszę. Teraz, gdy dzień coraz bardziej się wydłużał i często było bezchmurnie, czuł, jak promienie słoneczne odłupują po kawałku tę szarą zimową skorupę.

Lubił szosę, którą najczęściej, a właściwie zawsze jeździł do Suwałk i z powrotem, i czasem żałował, że była ona tak krótka – ledwie piętnaście kilometrów. Początkowo biegła wzdłuż wysokiego nasypu kolejowego, lecz znajdujące się po drugiej stronie mniejsze czy większe skupiska drzew, lasanki, jak mawiali miejscowi, poprzątkane łąkami i polami rekompensowały ten mało atrakcyjny widok, który zresztą dość szybko się zmieniał, bo po pewnym czasie to droga wyrastała ponad torowisko, a po obu jej stronach pojawiał się las. Teraz na drzewach powoli rozwijały się, nieśmiało

jeszcze swoją zielenią, listki, łąki delikatnie się zazieleniały. Prawdziwie atrakcyjnie robiło się jednak wtedy, gdy biegnące zgodnie i na pewnym odcinku na jednej wysokości szosa i tory kolejowe w końcu się rozstawały. Wąska droga wila się odtąd samotnie przez jakiś czas wśród luźno rozrzuconych gospodarstw i domów otoczonych polami. W końcu jednak przed maską samochodu wyrastała ciemna ściana nie żadnego lasu czy lasanku, lecz prawdziwego, gęstego lasu będącego częścią Wigierskiego Parku Narodowego. Ten fragment trasy lubił najbardziej, nawet wtedy, gdy jak jeszcze niedawno promienie słoneczne nie tańczyły w koronach drzew, ale panowały tu mrok i wilgoć. Trudno było ten las nazwać pradawną puszczą, lecz choć drzewa nie były wiekowe i nie sposób było znaleźć tu miejsc nietkniętych ludzką stopą, niewątpliwie przypominał on lasy, których opisy Jacek pamiętał z czytanych w dzieciństwie bajek: tajemnicze i trochę groźne. Jeśli czegoś żałował, to tego, że po ledwie półtora kilometrze knieja się kończyła. Potem jeszcze raz szosa w nią się zagłębiała, lecz kolejny śródleśny odcinek liczył niecały kilometr.

Gdy Jacek go pokonał, niemal od razu znalazł się przed drogą prowadzącą do jego domu zwanego Leśniczówką. Dość duży, zwrócony szczytem do szosy drewniany budynek mieścił się na stosunkowo wąskiej działce wciśniętej między las, posesję sąsiadów, szosę oraz jezioro Kaletnik. Mimo że właścicielem posesji był już nieco ponad dwa lata, nie zdołał przeprowadzić wszystkich niezbędnych remontów. Od dawna myślał o wymianie pokrywających naczółkowy dach Leśniczówki kwadratowych płytek azbestowo-cementowych oraz poczerniałych ze starości desek szalunkowych na ścianach, lecz ciągle były pilniejsze potrzeby. Najpierw

pozbył się starych, przepróchniałych okien, przed ostatnią zimą wyremontował przeszklony ganeczek znajdujący się od strony posesji sąsiadów, który przylegał do pokoju Zosi. Córka wprawdzie miała teraz o wiele cieplej, lecz narzekała, że nowe okna nie mają tego uroku, który miały stare. Może Puchacz, ich wielki czarny kot, był tego samego zdania, lecz na pewno doceniał wyższą temperaturę, bo tej zimy o wiele rzadziej odwiedzał Jacka w jego pracowni mieszczącej się w dawnym, gruntownie wyremontowanym przez poprzedniego właściciela chlewiku. Przytulność tego miejsca i wesoło trzaskający w kominku ogień przyciągały za to Pedra, owczarka katalońskiego, który wiernie dotrzymywał towarzystwa swemu panu, gdy ten pochylał się nad zepsutymi komputerami. Potrzeby remontowe były nadal duże, na szczęście prowadzony w Suwałkach serwis komputerowy Jacka Posadowskiego zyskał już na tyle dużo klientów, że właściciel nie musiał ciągle drżeć o to, czy uda mu się przynajmniej wyjść na zero.

Teraz jednak o tym nie myślał. Cieszył oczy pąkami na kilku starych jabłonkach, które rosły na podwórku. Niedługo będzie można rozwiesić między nimi hamak, by mieli gdzie się wygrzewać córka i Puchacz. Pedro być może też, lecz nie wiadomo było, czy taka forma leniuchowania mu się spodoba, bo jeszcze nie zdążył jej zasmakować. Pojawił się w Leśniczówce jesienią ubiegłego roku, kiedy hamak został już zwinięty.

Jednak gdy Jacek znalazł się w pracowni, zapomniał o wiośnie czy remontach. Praca nad komputerami szła dobrze, więc starał się to maksymalnie wykorzystać, bo doskonale wiedział, że takie momenty nie zdarzają się często. Naprawił nie tylko przywiezione z Suwałk laptopy, ale także taki,

którego reperację ciągle odkładał na później. W chwili, gdy przeciągał się z poczuciem satysfakcji, otworzyły się drzwi. Jak mógł się spodziewać, stanęła w nich Zosia. Śpiący do tej pory Pedro błyskawicznie się poderwał i podbiegł do niej, radośnie merdając ogonem. Powinien był zwrócić uwagę na to, że pogłaskała go z mniejszym niż zwykle zaangażowaniem. Ale nie zauważył tego. Chyba jeszcze był myślami w świecie komputerów i szwankujących systemów operacyjnych.

— O, już jesteś? – zdziwił się, zerkając na wiszący na ścianie zegar, na którym wskazówki wykreśliły właśnie kąt prosty.

— Normalnie jestem – wzruszyła ramionami.

— Tak się wciągnąłem w robotę, że obiadu nie zrobiłem – zafrasował się.

— Jajka sadzone możemy zjeść.

— Wczoraj jedliśmy – mruknął ponuro. – Trzeba coś wymyślić, nie możemy ciągle jeść jajek. O, wiem, zrobimy naleśniki.

— A mamy twaróg? – zapytała sceptycznie.

Tak, jego brak mógł być problemem, gdyż dziewczyna nie uznawała żadnych innych naleśników niż z twarogiem. Gdy po przejściu do domu otworzył lodówkę, szybko okazało się, że żadnego sera w niej nie ma. Popatrzył bezradnie na córkę. Do sklepu w pobliskim Kaletniku, odległego o mniej niż kilometr, nie chciał ani sam jechać, ani wysłać Zosi. O tej porze odpowiedniego twarogu mogło już po prostu nie być. Lecz prawda była też taka, że najbardziej smakował im ten, który mogli dostać o wiele bliżej.

Czy jednak powinien kolejny raz wyprawiać tam córkę? Bijąca z jej twarzy nadzieja na pyszny posiłek wystarczyła mu za odpowiedź.

— Pójdiesz do Matyldy? – ni to zapytał, ni to stwierdził.

Dziewczyna nie wahała się ani chwili. Obróciła się na pięcie i momentalnie znalazła się za progiem.

— Zapytaj, ile mam przelać, żeby nie było tak jak ostatnim razem – zdążył za nią zawołać.

Westchnął ciężko. Był czas, gdy sam pobiegłby do sąsiadki pod byle pretekstem. Choć musiał przyznać, że nabiał, który regularnie dostawała od jakiegoś swojego kuzyna rolnika, był wyborny i warty każdych pieniędzy, to o wiele cenniejsza była możliwość zobaczenia Matyldy i jej niezwyklego uśmiechu. Tyle że od dawna go już nim nie obdarowywała, a zwłaszcza od ostatniej jesieni, gdy bawił się w detektywa, usiłując rozwiązać sprawę śmierci zakonnika w Smolanach, czego o mało nie przypłacił życiem. Nie potrafiła mu wybaczyć, że wbrew jej radom i naleganiom kolejny raz zaangażował się w sprawę kryminalną, a jego solenne zapewnienia, że nigdy więcej nie narazi córki na niebezpieczeństwo sieroctwa, nie robiły na niej żadnego wrażenia. Pogardliwie wydymała usta i twierdziła, że stanie się to prędzej czy później. Na wspomnienie dzisiejszego przyspieszonego bicia serca, gdy usłyszał od Soni o zagadkowej śmierci nauczyciela, gotowy był przyznać sąsiadce rację, lecz jedynie co do tego, że zainteresowanie historiami kryminalnymi ciągle w nim nie wygasło. Obiecał sobie bowiem, że w ani jedno śledztwo już się nie zaangażuje, i zamierzał dotrzymać słowa. Na szczęście Zosia, która była jeszcze większą pasjonatką historii kryminalnych niż on, o żadnej podejrzanej śmierci polonisty się nie dowie. Wiadomości, które mogły do niej dotrzeć, jednoznacznie wskazywały, że zginął on w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Z rozmyślań wyrwało go gwałtowne ocieranie się o nogi. Nie był to Pedro, który został na podwórku, lecz

Puchacz. Kot, który postanowił zamieszkać w ich domu niemal zaraz po ich sprowadzeniu się z Warszawy. Choć może należałoby raczej powiedzieć, że to oni zamieszkali w jego włościach. Wyglądało bowiem na to, że zwierzak doskonale znał każdy kąt domu, na tyle dobrze, że potrafił do niego wejść i z niego wyjść, mimo że wszystkie drzwi i okna były dokładnie pozamykane. Jacek przyzwyczał się już do myśli, że tak naprawdę jest on przybyłym z Ukrainy wraz z przedwojennymi właścicielami Leśniczówki domowojem – czyli opiekuńczym duchem domowym – który przybierał postać kota. Zosia była tego pewna.

Gdy po chwili patrzył na zwierzaka nabijającego na pazur kawałki mięsa, których nakroił mu do miski, a potem z gracją wkładającego je do pyszczka, też skłaniał się ku tej tezie. Zwłaszcza że miał powody, by przypuszczać, że kocur, zgodnie ze swoją funkcją opiekuna domu, kilka razy maczał pazury w wybawieniu ich z tarapatów, w które się wpędzili przez swoją wspólną pasję do zagadek kryminalnych. Powinno było go zaniepokoić to, że Puchacz nie dokończył jedzenia, choć rzadko mu się to zdarzało, i zaczął nerwowo krążyć po kuchni. To nietypowe zachowanie nie zwróciło jednak jego uwagi, bo do domu wbiegła ucieszona Zosia. W rękach trzymała spore zawiniątko.

— Mam! – wykrzyknęła uradowana. – Możemy smażyć.

Naleśniki robiła bardziej ona niż on, choć starał się jej pomagać. Cóż, musiał przyznać, że dysponowała pewnym talentem kulinarnym. Jaki on by był, gdyby miała szansę podszkolić się przy Kindze, mógł sobie tylko wyobrażać. Wspomnienie żony zmarłej tragicznie kilka miesięcy po urodzeniu Zosi sprawiło, że poczuł bolesne ukłucie w sercu. Do tej pory pamiętał zapach jej włosów i smak przygotowywanych

przez nią naleśników. Córka spróbowała pójść w jej ślady, gdy przez parę dni panowały gołoledzie i nie jeździł do Suwałk, z których zwykle przywoził coś gotowego do jedzenia. Wtedy pod okiem Matyldy nauczyła się kilku w miarę prostych potraw, z których popisową stały się naleśniki.

Po kilkunastu minutach siedzieli przy stole.

— Co dzisiaj było w szkole? – zadał standardowe pytanie, gdy zaspokoił pierwszy głód.

Wiedział, jakie zazwyczaj wywołuje ono reakcje pytanych. Pamiętał też swoje, gdy w dzieciństwie musiał na nie odpowiadać od razu po otwarciu drzwi mieszkania. Zosia nie reagowała na nie alergicznie. Może dlatego, że był to jeden z normalnych tematów ich codziennych rozmów przy posiłkach. Ona opowiadała mu o swoich szkolnych perypetiach, on jej o klientach, spóźnieniach Soni i ich przedziwnych powodach, trudnych naprawach. Dzisiaj w odpowiedzi jak zwykle usłyszał, że mają dużo nauki, kto z kim się przyjaźni, a kto przestał się przyjaźnić, jakie najnowsze tiktokowe dramy się wydarzyły. Słuchał uważnie, dopytywał, starał się przypomnieć sobie nicki wymienianych influencerów. Czasami się to przydawało, bo mógł popisać się znajomością najnowszych trendów na przykład przed Sonią i nie uchodzić za boomera w oczach o przeszło dziesięć lat młodszej pracownicy.

— A ty przypadkiem nie miałaś napisać jakiejś rozprawki na piątek? – przypomniał sobie. – Napisałaś?

Nie musiał jej pilnować, zazwyczaj sama o wszystkim pamiętała. Bywało jednak, że zapominała.

— Prawie – odpowiedziała tak, że można było pomyśleć, że nie do końca jest to prawda. – Ale nie muszę się śpieszyć, do piątku dużo czasu. A poza tym wtedy na polskim jest zastępstwo. Będę miała jeszcze weekend na napisanie tego.

Ta informacja go zainteresowała. Nie dlatego, że różne odwołania lekcji i zastępstwa były tak częste, że właściwie nie było dnia, żeby w planie nie pojawiły się jakieś zmiany, lecz dlatego, że nauczycielką polskiego w szkole w Kaletniku była ich sąsiadka Matylda.

— A co znowu się stało? Jakies kolejne szkolenie czy wycieczka?

— Nie. Na pogrzeb idzie.

— Ktoś w okolicy zmarł? – zaniepokoił się, a w pierwszym rzędzie przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że chodzi o panią Jadwigę, mieszkającą z Matyldą jej dość wiekową już matkę.

— Nie, do Suwałk jedzie. Na pogrzeb tego nauczyciela z liceum, który zginął. Polonisty...

— Słyszałem – powiedział jak najbardziej niedbale i obojętnie. – Sonia coś mi mówiła. Uczył ją – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie córki.

Założyła za ucho niesforne kosmyk swoich długich, rudawych włosów i spojrzała na niego z pewnym namysłem.

— Matylda, jak u niej byłem, to mi powiedziała, że bardzo dobrze go znała, bo to był jej bliski kuzyn. Zresztą wiele osób go znało, gdyż miał kanał na YouTube'ie... – ciągnęła.

— No tak, kolejny, który zamiast uczyć, robi z siebie pajaca w Internecie.

— A widziałeś, że tak mówisz? – oburzyła się. – Bardzo ciekawie wszystko opowiadał, wiem, bo widziałam, i wcale nie robił z siebie żadnego pajaca. Był świetny.

— Lepszy od Matyldy? – zapytał niby neutralnym tonem.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak wielką sympatią córka darzy swoją nauczycielkę, którą traktuje jak matkę, a trochę także przyjaciółkę.

— Inny – odpowiedziała z szelmowskim uśmieszkiem, bo widocznie przejrzała jego podstęp. – Choć niektóre rzeczy potrafił tak wytłumaczyć, że...

— ...Matylda tak nie potrafiła – dokończył za nią ze śmiechem.

— No... no może i tak – przyznała z pewnym oporem.
– Tato?

— Co takiego? – zapytał po przełknięciu sporego kęsa naleśnika.

— Ta jego śmierć... Nie wydała ci się dziwna? Ten szalik...

Serce zabiło mu szybciej.

— A co w niej dziwnego? – Wzruszył ramionami. – Doskonale te naleśniki, naprawdę mistrzowskie. Jednak zgłoszę cię do tego MasterChefa.

Powinno było go zastanowić to, że nie oburzyła się jak zwykle, gdy sugerował jej udział w telewizyjnym programie kulinarnym. Ale nie zastanowiło. Może dlatego, że chciał wierzyć, bardzo chciał, że nic nie wisi w powietrzu.

Opowieść o młynie

Znane powiedzenie, że nie wiadomo, kto na czym pogrzebie zmarł, sprawdziło się idealnie. Wiało i padało tak, że chłód przenikał do szpiku kości. Jacek, zamiast skupić się na wydarzeniach na cmentarzu, myślał tylko o tym, żeby wrócić już do zakładu i napić się gorącej herbaty. Od dobrego kwadransa żałował, że dał się w tę całą historię wciągnąć, i to w tak głupi sposób. Co go podkusiło, żeby bawić się w samarytanina i proponować Soni podwózkę? Nawet go o to nie prosiła. Więc co sprawiło, że teraz drżał na wietrze i deszczu? Bardziej to, że ciekaw był, kto się zjawi na pogrzebie Tadeusza Śliwińskiego i co się na nim będzie działo, czy też to, że spodziewał się na cmentarzu spotkać jedną bardzo konkretną osobę? Owszem, mordercy mają ponoć w zwyczaju przychodzić na pogrzeby swoich ofiar, lecz nie potencjalnego zabójcy wypatrywał w pokaźnym tłumie żałobników. Na szczęście Matyldę łatwo było dojrzeć, gdyż stała niedaleko grobu, w którym miało być złożone ciało nauczyciela. Przytrzymała pod ramię zapłakaną kobietę w czerni z długimi prostymi blond włosami, zapewne żonę zmarłego. Choć trudno byłoby mu racjonalnie wytłumaczyć swoje zachowanie, wraz z Sonią przesunął się jak najbliżej Matyldy. Kobieta zdziwiła się, gdy w końcu go zobaczyła. Doskonale

zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma żadnego powodu, by uczestniczył w ceremonii pogrzebowej. Owszem, było tu wielu przypadkowych ludzi: byłych uczniów, znajomych z Internetu... Lecz on nie należał do żadnej z tych kategorii. O czym w tamtym momencie pomyślała? Cokolwiek to było, musiało jej się nie spodobać, o czym świadczyła zmarszczka u nasady nosa, która się pojawiła. Jacek podejrzewał, że przypuszczenie, iż uczestniczył w pogrzebie dlatego, że znowu planował zaangażowanie się w śledztwo, nie przyszło jej do głowy w pierwszej kolejności. Przynajmniej taką miał nadzieję. Tak naprawdę liczył na to, że pomyślała, że Sonia, którą znała jedynie ze słyszenia, nie jest dla niego przypadkową towarzyszką. Przypuszczenie to sprawiało mu satysfakcję, z której nie był dumny. Ale co mógł na to poradzić? Ludzie nie odczuwają wyłącznie szlachetnych emocji. Co miał poradzić na to, że zaczynał już mieć dość ciągłej niepewności, czy to, co ich łączy, to ledwie szorstka przyjaźń, czy może jednak jakieś uczucie? Tyle razy na chwilę się do siebie zbliżali, by coś znowu ich rozdzieliło. Niechby w końcu coś się stało, niechby w końcu wiedział, na czym stoi. Był już przyzwyczajony do samotności. Skoro była mu przeznaczona, mógł tak żyć. Lecz nie potrafił trwać w ciągłym stanie zawieszenia.

Choć wydawało się to niemożliwe, zrobiło się jeszcze zimniej. Może za sprawą wiatru, który się wzmógł. Żalobnicy drżeli coraz bardziej. Wielu z nich, zwiedzionych niemal letnią aurą w ostatnich dniach, uwierzyło, że zmiana w pogodzie jest trwała i zimowy chłód już nie wróci. Niestety, Jacek też do nich należał. Może miał jakiegoś anioła stróża, ale jeśli tak, to dzisiaj nie wywiązał się on ze swoich obowiązków i nie podszeptał mu, by porządnie się ubrać. Na

dodatek, mimo że zawalił sprawę, nie miał zamiaru tego naprawić. Mógł przecież dzięki swojej anielskiej mocy dokonać jakiegoś transferu energii, która sprawiłaby, że podopieczny poczułby ciepło.

Widocznie anioł stróż w końcu usłyszał jego narzekania i postanowił zadbać o to, by wiara Jacka w jego istnienie nie upadła. I chyba zrobił to z pewnym naddatkiem, bo oto po ciele mężczyzny rozlało się nie ciepło, lecz żywy ogień. Nie sprawił tego żaden przekaz nadprzyrodzonej energii, lecz kawałek ciała równie zziębniętego jak jego, a dokładniej ręka Soni, którą ta niespodziewanie wsunęła w jego schowaną w kieszeni dłoń. Zrobiła to tak po prostu, bez żadnej zapowiedzi, zwyczajnie, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Popatrzył na nią zaskoczony, a ona odpowiedziała mu uśmiechem, jakby przepraszającym. Serce zabiło jak oszalałe, a w ustach poczuł nagłą suchość. Czuł dziwną ekscytację i pewne oszołomienie. Nie dlatego, że cel, w jakim się zjawił na pogrzebie, osiągnął z nawiązką. Matylda zauważyła, że Sonia znalazła się blisko niego, że się do niego przytula, i teraz jej oczy ciskały gromy. To nie miało specjalnego znaczenia... bo nagle przez głowę przemknęła myśl, która go trochę przestraszyła: Matylda, ta sama Matylda, za którą jeszcze niedawno dałby się pokroić... niemal w jednej chwili przestała się liczyć. Momentalnie wyparowała z jego serca. Tak się tego zląkł, że rozpaczliwie usiłował ją odnaleźć, lecz nie było jej w żadnym zakamarku jego duszy.

To, co się z nim działo, przeraziło go do tego stopnia, że gotów był zostawić wszystko i salwować się ucieczką. Lecz dłoń Soni splatała się mocno z jego dłonią. Po co zresztą miałby uciekać, skoro już nie płomień, a przyjemne gorąco rozlewało się po jego ciele?

— Ciepłej? – zapytał z troską.

— O wiele – odpowiedziała takim tonem, jakim odpowiada się na takie pytania. – Przyda się trochę ciepła, bo szybko to się to nie skończy.

Dziewczyna miała rację. Wprawdzie trumna została spuszczone do grobu, wieńce położone, ksiądz sobie poszedł, a wraz z nim duża część uczestników pogrzebu, którym po angielsku udało się opuścić zgromadzenie. Lecz nie wszyscy mieli takie szczęście. Młodzież ze szkolnej delegacji, wśród której była też Hanka, podopieczna Soni, musiała zostać wraz z nauczycielami. A tymczasem dyrektorze szkoły przypominały się wszystkie zasługi polonisty, to, jak dobrze przygotowywał uczniów do matury, ilu miał olimpijczyków, jak wielką tragedią dla szkoły jest jego śmierć. Kiedy wydawało się, że będzie już można się rozejść, chemiczka zaczęła wychwalać go jako wspaniałego kolegę z pokoju nauczycielskiego, na którego zawsze można było liczyć i który nigdy nikomu nie odmówił pomocy. „Ciekawe, czy ktokolwiek powiedział mu to za życia?” – pomyślał Jacek. Gdy padły słowa o głębokim współczuciu dla żony, zaczął już się obracać na pięcie, bo teraz musiało to się skończyć.

Lecz jego nadzieje, że wkrótce znajdzie się w stosunkowo ciepłym samochodzie, okazały się płonne. Obok grobu stanęła dość mocno zbudowana, niezbyt zgrabna, wysoka kobieta z szeroką twarzą i długimi brązowymi włosami w wieku pięćdziesięciu paru lat.

— Pomódlmy się jeszcze za duszę Tadeusza, by dobry Ojciec wybaczył mu jego grzechy i przyjął go do swojego domu – powiedziała egzaltowanym głosem. – W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego...

Jacek zamarł, gdy zobaczył w jej rękach różaniec. Nie pamiętał, ile dokładnie czasu zajmuje jego odmówienie, ale wiedział, że dużo. Podobna wiedza znalazła wyraz na twarzach pozostałych nauczycieli, a zwłaszcza młodzieży. Ale machina ruszyła i nic nie było w stanie jej zatrzymać, nawet dyrektorka. Paciorki poczęły przesuwać się w palcach kobiety, która natchnionym głosem z wółprzymkniętymi powiekami recytowała kolejne „Zdrowaś, Maryjo”. Zziębnięta młodzież powtarzała po niej, z nadzieją patrząc na palce przemieszczające się po obwodzie różańca. Był to jednak ruch jednostajny, nie zaś jednostajnie przyspieszony.

Do tego grona zniecierpliwionych nie zaliczał się Jacek. Z jednej strony miał dość sterczenia na zimnie, ale z drugiej powtarzał sobie w duchu: chwilo, trwaj. Chwilo, bo przecież był pewien, że gdy tylko ceremonia się skończy i znajdą się w samochodzie, a potem w zakładzie, Sonia zagłębi się w lekturę i jak zwykle będzie mu mówiła raz na pan, a raz na ty.

Lecz nawet różaniec nie trwa wiecznie, zwłaszcza że żałobnicy, coraz mniej liczni, gdy przychodziła kolej na recytowanie przez nich modlitwy, robili, co mogli, by ją przyspieszyć. Wielkiej kobiecie udało się jeszcze odmówić Anioł Pański i modlitwę za zmarłych, ale gdy zdawało się, że zaraz z zanadru wyciągnie jeszcze coś, dyrektorka sprytnie jej przerwała, by ogłosić, że uczniowie nie muszą już wracać do szkoły.

— Jedźcie do domów i napijcie się czegoś ciepłego – zakończyła, patrząc z dezaprobatą na przewodniczącą modłom koleżankę.

— Podwieziemy Hankę? – zapytała Sonia, wskazując niewysoką, ale całkiem urodziwą czarnowłosą licealistkę z sinymi z zimna ustami.

— Jasne – odpowiedział bez wahania. Prawie nie zauważył, że przeszła koło niego piorunująca go wzrokiem Matylda. – Choć i tak wątpię, że nie skończy się to zapaleniem płuc, a przynajmniej potężnym przeziębieniem.

Z żalem musiał wypuścić dłoń Soni, bo ta właśnie machaniem rękami dawała sygnał bezradnie rozglądającej się Hance. Dziewczyna została zasłonięta przez o wiele wyższych kolegów i koleżanki, więc musieli do niej podejść.

— Hanka, chodź – zawołała Sonia. – Podrzucimy cię do domu.

Licealistka zauważyła w końcu starszą koleżankę. Podbiegła do niej na zeszytniałych nogach i wtuliła się w nią.

— Idziemy do samochodu...

— A państwo, przepraszam, kim są? – Ostry głos nie pozwolił Soni dokończyć zdania. – Dlaczego zaczepia pani nasze uczennice?

Szybko okazało się, że jego właścicielką jest potężna nauczycielka. Sonia przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa.

— Nie poznaje mnie pani, pani profesor? – zapytała w końcu. – To ja, Sonia Kamińska, pięć lat temu zdawałam maturę.

Nauczycielka omiotła ją wzrokiem od dołu do góry, a potem intensywnie wpatrzyła w twarz.

— Sonia Kamińska? – zapytała ze zdziwieniem. – Rzeczywiście, jak się przyjrzeć... Trochę się zmieniłaś...

— Podwiozę z moim szefem – wskazała głową Jacka – Hankę do domu, mieszkamy w jednym bloku, a nawet w jednej klatce.

Kobieta przez chwilę taksowała całą trójkę, ale w końcu zdecydowała:

— Dobrze, Haneczko, możesz iść.

Nie czekając, aż nauczycielka się rozmyśli, niemal pobiegli do samochodu. Na szczęście do bramy nie było daleko, a Jackowi udało się zaparkować w jej pobliżu. Gdy znaleźli się w aucie, prędko uruchomił silnik i ustawił ogrzewanie na maksimum. Wiedział, że system grzewczy osiągnie odpowiednią wydajność pewnie dopiero wtedy, gdy dojadą na miejsce, ale to go teraz nie obchodziło. Sonia podała mu adres. Zdziwił się, bo miejsce jej zamieszkania nie tylko było inne niż to, które miał w papierach firmowych, lecz także znajdowało się bardzo blisko jego serwisu komputerowego. Wyglądało na to, że sprawdzała się stara prawda, że ci, którzy mają najbliżej, przychodzą najpóźniej, a nawet się spóźniają.

Tak jak przewidywał, auto nie rozgrzało się w wystarczającym stopniu do momentu, gdy dzięki wskazówkom Soni wjechał na parking pod długim blokiem przy ulicy Nowie-wicza.

— Musimy niestety kawałek się przejść, bo dalej są postoje tylko dla mieszkańców osiedla – wyjaśniła.

Owo osiedle składało się z ustawionych prostopadłe do ulicy czteropiętrowych bloków z czasów PRL-u, ocieplonych i pomalowanych w ostatnich latach. Dawną szarość betonu zastąpiła pstrokaczna, jakby projektant modernizacji chciał sobie zrekompensować lata patrzenia na ów beton. Teraz dominowały tu jaskrawe żółcie i czerwienie.

Szybko doszli do jaskrawożółtego wiatrołapu wskazanego przez Sonię, a potem weszli do niedawno odmalowanej klatki schodowej, na której nie sposób było nie zauważyć jaskrawozielonej lamperii. Hanka zatrzymała się pod jednymi z trojga drzwi na parterze.

— Chodź do mnie – zaprosiła ją Sonia. – Zjemy coś, gorącej herbaty się napijemy. Potem wrócisz do siebie.

Brązowe oczy Hanki rozbłysły radością. We trójkę wdrapali się na czwarte piętro, a Jacek docenił, że do Leśniczówki mógł się dostać przy o wiele mniejszym nakładzie sił. Sonia otworzyła solidne brązowe drzwi po prawej stronie, wyglądające na niedawno wymienione. Lecz gdy znaleźli się w środku, Jacek poczuł się, jakby odbył podróż w czasie do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Ściany i sufit przedpokoju obite były boazerią, jaką pamiętał z wczesnego dzieciństwa i jeszcze widywał w filmach z tamtego okresu albo na starych zdjęciach. Jedynie podłoga wyłożona została terakotą i przykryta chodnikiem w geometryczne wzory. Sonia musiała zauważyć jego zdumione spojrzenie, gdy wieszał kurtkę na dopasowanym do boazerii drewnianym wieszaku z kołkami na ubrania i półką na nakrycia głowy, bo wyjaśniła zawstydzona:

— To mieszkanie po dziadkach. Dziadek nie był entuzjastą remontów, zresztą był bardzo dumny z tej boazerii, na którą w tamtych czasach nie każdy mógł sobie pozwolić. A babcia, jak dziadek umarł, mówiła, że jej już nic niepotrzebne. No i tak zostało. Remont generalny by się przydał, a na to trzeba sporo pieniędzy. Zresztą mieszkanie nie do końca moje...

— Daj spokój – przerwał jej te bolesne wyznania. – Wiem coś o tym. Opowiadałem ci, jak pierwszej zimy omal nie zamarzliśmy w Leśniczówce. Okna wprawdzie wymieniałem, ale kiedy inne remonty porobię, nie mam pojęcia. Worek bez dna. No, w sensie, że można do niego wrzucić nie wiadomo ile, a nigdy się nie zapełni – wytłumaczył, widząc pytające spojrzenia obu dziewczyn.

Gdy po wizycie w ciasnej łazience, która większego remontu nie widziała pewnie od czterdziestu lat, dotarł do niewielkiej kuchni utrzymanej w peerelowskiej stylistyce, ustawiony na kuchence gazowej spory czajnik zaczynał już pogwizdywać, a na blacie szafki stały trzy duże kubki.

— Zamówiłam sushi, różne rodzaje. Lubisz? – zapytała Sonia. – Bo my uwielbiamy.

— Tak – potwierdził zgodnie z prawdą. – Tylko nie umiem jeść palczkami. Jeśli pozwolicie mi używać widelca oraz palców i zapłacić za zamówienie, to będzie super.

Sonia skinęła potakująco głową. Ponieważ czajnik zagwizdał, nie był w stanie upewnić się, czy zgodziła się na pierwszą część propozycji, czy na obie. Dopytać jednak nie mógł, gdyż zajęli się robieniem herbaty, z którą niebawem przeszli do niewielkiego salonu znajdującego się po drugiej stronie przedpokoju. Na jego umeblowanie składała się koszmarna meblościanka z niemal białej drewnopodobnej płyty, której drzwiczki „ozdobiono” okropnymi aplikacjami z brązowej płyty w zamierzeniu autora mającymi bodaj imitować starożytne arkady. Mebel wyglądał strasznie, lecz interesująco prezentowała się jego zawartość. Wszystkie półki wypełnione były książkami z mieczami, smokami i wojownikami na grzbietach. Usiedli na współcześnie wyglądającej składanej kanapie, a kubki postawili na sporym stoliku kawowym.

Właściwie nic w tym mieszkaniu nie pasowało do niczego, nic nie było w dobrym guście albo stanie. A najmniej pasowała do niego młoda dziewczyna, która w nim żyła.

Nim zdążyli na dobre się rozsiąść, usłyszeli dźwięk domofonu. Jacek poderwał się zaraz po Soni. Kwota do zapłaty była spora, ale przyniesiona przez dostawcę torba ważyła

dużo. Pomyślał, że może coś zostanie i będzie mógł zawieźć to Zosi.

Szybko jednak zaczął wątpić, że będzie to możliwe. I dziewczyny, i on pochłaniali bowiem ryżowe krążki jeden za drugim. W końcu zaspokoili pierwszy głód.

— Cieszę się, że poszedłem na ten pogrzeb – mruknął Jacek.

Oparł się wygodnie, założył ręce za głowę i spojrzał na sufit, nie mógł więc dostrzec miny Soni wyrażającej jednocześnie pewne zaskoczenie i radość.

— Cieszysz się? – zapytała z nadzieją.

Jacek, skoncentrowany na tym, co za chwilę miał powiedzieć, nie dostrzegł brzmienia jej głosu.

— Tak, w końcu zobaczyłem prawdziwego mordercę.

Dziewczyny niemal podskoczyły.

— Jak to mordercę? Naprawdę? – dopytywała Sonia.

— Naprawdę – potwierdził z kamienną twarzą.

— Gdzie on był? – tym razem nieco zaniepokojona Hanka odważyła się zapytać.

— Całkiem niedaleko. Chociaż bliżej ciebie niż nas...

— Jak wyglądał? – indagowała już nie na żarty przestraszona licealistka.

— Wysoki, raczej zwalisty, okrągła twarz, na oko z pięćdziesiąt parę lat, długie brązowe włosy. Chciał zamordować...

Głośny śmiech Soni zaskoczył ich oboje. Hanke, która patrzyła to na Jacka, to na nią nierozumiejącym wzrokiem, i Jacka, który słyszał śmiejącą się tak szczerze pracownicę chyba pierwszy raz.

— Chciał zamordować Bogu ducha winną młodzież – dokończył, a na twarzy nastolatki pojawił się uśmiech.
— Nie śmiecie się, dwadzieścia pięć lat bez możliwości

przedterminowego zwolnienia każdy sąd by jej dał z zamkniętymi oczami. Co to za pomysł, żeby w taką pogodę różańce jeszcze odmawiać? Kto ją w ogóle dopuścił do pracy z młodzieżą? Co to za okropne babsko?

— Pani Tkaczenko, Alina Tkaczenko, nasza nauczycielka historii – odpowiedziała Hanka.

— Czego? Historii? – zdziwił się Jacek. – Myślałem, że to katechetka.

— Pewnie katechetki takie pobożne nie są – zażartowała Sonia. – Za moich czasów też uczyła i zawsze taka była: świętsza niż ksiądz.

— Bo ona mówi, że w PRL-u, chociaż była młoda, była w opozycji, walczyła z komuną i wtedy związała się z Kościołem, który udzielał opozycji poparcia – wyjaśniła licealistka.

— Ciągłe te same historie – burknęła niechętnie Sonia. – Nam opowiadała, że dobrze знаła Wałęsę i innych przywódców „Solidarności”, tylko że nie umiała być tak sprytna jak oni i nie dochrapała się żadnego stołka. Wam to samo mówi?

— Tak – potwierdziła Hanka. – Dokładnie to samo. Że wszyscy z dawnej opozycji zdradzili ideały i że tylko wiara i Bóg jej zostały z tamtych czasów.

— Tak, wiara – z sarkazmem fuknęła Sonia. – Fanatyzm i dewocja, a nie wiara. Dawno ci mówię, żebyś sobie dała spokój z tą całą Górą Emmanuela czy jak to się nazywa. Do niczego dobrego to nie prowadzi.

— Wiesz, że nie mogę... – zaczęła Hanka.

— Co to za Góra Emmanuela? – zainteresował się Jacek.

— Nie słyszałeś? – zdziwiła się Sonia. – Nie słyszałeś o Benedykcie Studencie? Nawet w telewizji go pokazywali. Cudotwórca niby – prychnęła ze złością.

— On naprawdę uzdrawia! – wykrzyknęła Hanka.

— Jasne. To może służbę zdrowia trzeba zlikwidować? – zapytała ironicznie Sonia. – Po co lekarze, po co szpitale? Niech Student wszystkich uzdrowi! Dlaczego jeszcze tego nie zlikwidowali? A ty wierzysz tym oszustom i chodzisz do nich...

— Nie widziałaś! – wrzasnęła Hanka i poderwała się z kanapy. – On naprawdę uzdrawia! Z grzechów też!

Zdumiony Jacek zdążył tylko zarejestrować, jak nastolatka wychodzi z mieszkania, trzaskając drzwiami.

— Hanka, zaczekaj – usłyszał w przedpokoju głos Soni, która za nią pobięła.

Po chwili wróciła zmieszana.

— Zawsze to samo – mruknęła. – Zawsze.

— O co tu chodzi? Co to za grupa i co ta Hanka w niej robi?

— Tak jak mówiłam: kupa wariatów i oszustów. Wiesz, jakieś uzdrowienia, omdlenia w duchu czy w czymś tam, coś o jakimś mówieniu językami Hanka mi opowiadała. Próbowalam o tym coś przeczytać, obejrzeć coś. Wiele tego nie ma, a na dodatek ja na sprawach religijnych za bardzo się nie znam. Ale ta cała Góra Emmanuela mi się nie podoba, bardzo się nie podoba.

— A Hanka dlaczego tam chodzi? Ta babcia, z którą mieszka, jej każe czy sama taka pobożna?

— Matka podobno sobie tego życzy. Ale sama też chce. Bo ojca to ona nigdy nie знаła. A matka ładnych parę lat temu wyjechała do roboty do Niemiec. Ale przed wyjazdem sama była zaangażowana w tę Górę Emmanuela, nie wiem nawet, czy oni w jakiś sposób nie pomogli jej w wyjeździe. To było w czasach, gdy u nas było spore bezrobocie, a jak

nawet praca była, to za marne grosze. Nie przyjeżdża, podobno nie może, bo stale opiekuje się staruszką, która mieszka w jakichś górach, gdzie nawet internet jest słaby, to tylko od czasu do czasu jakiś esemes napisze, zapyta, co słyhać, jak się córka uczy. Ale w każdym dopytuje, czy trzyma się wiary i Góry Emmanuela. Hanka to czasem nawet się zastanawia, czy matka przypadkiem tam nowej rodziny nie ma, bo tak mało pisze, pieniędzy też niedużo, o ile wiem, przysyła, podobno oszczędza, żeby jak wróci, kupić Hance mieszkanie. Wyobrażasz sobie taką historię?

Jacek był zdziwiony. Lecz nawet nie tyle samą opowieścią, ile tym, co w krótkim czasie, w ciągu zaledwie paru godzin stało się z jego pracownicą. Miał wrażenie, że niewidzialna ściana, która ich dzieliła, zniknęła bez śladu. Rozmawiali normalnie, swobodnie, jakby robili to od nie wiadomo jak dawna.

— No, różne rzeczy się zdarzają – odparł sentencjonalnie. — Taka eurosierota ta Hanka. Tak sobie myślę, że może dla matki tak tej Góry Emmanuela się trzyma.

— Może – przyznała Sonia. — Głupia smarkuła. Czasami mam jej tak dosyć, że rozszarpałabym ją gołymi rękami. Aż mną trzęsie...

Urwała i spojrzała na Jacka tak, jakby jakaś nagła myśl przemknęła jej przez głowę. Stała naprzeciwko niego, a on odruchowo poderwał się z kanapy.

— Zimno tu... Bardzo zimno – powiedziała niespodziewanie zmysłowym głosem. — Rozgrzejesz mnie?

Zarzuciła mu obie ręce na szyję i przyciągnęła do siebie...

*

Jacek się wzdrygnął. Czy właśnie tak Matylda wyobrażała sobie to, co się mogło stać, a co się nie stało? Być może, bo odkąd wsiadła do samochodu, nie odezwała się do niego ani słowem. Uparcie wpatrywała się w okno, choć oprócz mało interesujących sieczonych deszczem pól, drzew i nielicznych domów nie było za nim co oglądać. Przypuszczał, że gdyby nie to, że w jej aucie wysiadł alternator i potrzebowała podwózki, nie byłoby szansy na spotkanie przez najbliższych kilka miesięcy. Tyle że nie miała żadnego powodu, by tak się zachowywać. Z tego, co być może, podobnie jak on, sobie wyobrażała, prawdą było właściwie wszystko, oprócz najważniejszego: Sonia go nie uwiodła, a nawet, poza tym, że na cmentarzu ze względu na zimno faktycznie trochę się przytulała, nie zmieniła swojego stosunku do niego. Rzeczywiście odwiózł ją i Hankę pod ich blok, wszedł do mieszkania dziewczyny i zjadł sushi, a nawet był świadkiem jej kłótni z licealistką, lecz po wypiciu kawy i krótkiej rozmowie wyszedł od niej. I byłby spokojnie poszedł do zakładu po komputery do naprawy, a potem pojechał do Leśniczówki, gdyby jego planów nie zmienił niespodziewany telefon od sąsiadki.

Z początku jej naburmuszona mina sprawiała mu pewną przyjemność, lecz teraz, gdy zbliżali się do domu, uznał, że powinien wykorzystać dar od losu.

— O czym tak myślisz? – zapytał, starając się ukryć ironię w głosie.

Oczywiście nie nabrała się. Odwróciła się od okna i spojrzała na niego takim wzrokiem, że aż ciarki przebiegły mu po plecach. Jeśli jednak rzeczywiście miała przed oczami obraz przyklejonej do niego Soni, to nie mogła tego dać po sobie poznać. Szybko opanowała złość.

— Ech to życie – powiedziała refleksyjnym tonem. – Człowiek sobie żyje, jest szczęśliwy, bo i wspaniała żona u boku, i nowe mieszkanie, i praca, którą kocha, i pasja, a wystarczy moment, chwila nieuwagi, głupi szalik i człowieka nie ma.

Był pewien, że nie to jej teraz chodziło po głowie, ale wspomnienie Soni. Lecz jej słowa dawały szansę, z której musiał skorzystać, jeśli nie chciał żałować do końca życia, że nie spróbował.

— A, o tym Tedzie rozmyślasz? Podobno świetny facet to był. Nauczyciel, któremu się chciało coś robić.

— A ty skąd wiesz? – zapytała podejrzliwie.

— Zosia mi mówiła, bo oglądała jego kanał na YouTube'ie.

— W rzeczywistości, realu był o wiele lepszy – przerwała mu z zapalem.

— Wiem. Sonia mi o nim opowiadała, był jej nauczycielem. To podobno on zaraził ją czytaniem książek, co prawda tylko fantasy, ale...

— To była ta twoja słynna pracownica? – nie powstrzymała się.

— Tam na cmentarzu? Tak, to Sonia – potwierdził takim tonem, jakby mówił o ciotce emerytce.

— Ładna – wyrwało się Matyldzie.

— Owszem – zgodził się neutralnym głosem. – I ma ciekawe informacje o Tedzie – dodał prędko, zanim pasażerka zdążyła cokolwiek powiedzieć na temat urody jego pracownicy czy czegokolwiek innego, a już otwierała usta, żeby to zrobić.

— Ona? – zdziwiła się. – A skąd?

— Stąd, że jej sąsiadką z klatki jest licealistka Hanka, którą trochę się opiekuje, a która była uczennicą Teda. I ta

licealistka twierdzi, że bardzo dziwny ten nieszczęśliwy wypadek, bo Tadeusz Śliwiński, gdy wychodził tamtego dnia ze szkoły, nie miał na szyi szalika, gdyż było wtedy bardzo ciepło. Faktycznie, było, doskonale pamiętam ten upał. – Przezornie nie dodał, że zapadł mu w pamięci głównie ze względu na kusy strój pracownicy. – Nie było potrzeby, żeby okręcał się szalikiem, jeśli chciał popracować przy motocyklu, nawet jeśli tak bardzo troszczył się o gardło i głos. Powiedziałem jej, że facet może pracował w jakimś zimnym garażu...

— Tak, mogło tam jeszcze nie być zbyt ciepło – potwierdziła. – Ted ten motocykl w zimie trzymał u rodziców, którzy mieszkają w Krzywólce. Byłeś tam kiedyś?

— Nie – odpowiedział Jacek po chwili namysłu.

— To taka wieś będąca częścią Suwałk. Taka prawie prawdziwa wieś, obory tam jeszcze są, stodoły. Rodzice Teda mieli tam kiedyś trochę ziemi, teraz oczywiście nią się nie zajmują, lecz nadal tam mieszkają, nieco na uboczu, ale im to odpowiada. A że miejsca u nich dużo, to Ted na zimę odprowadzał tam motocykl. Rozmawiałam z ciotką Ireną. Ona z wujkiem Jurkiem pojechała akurat do lekarza do Suwałk, dlatego gdy Ted do nich przyjechał, był zupełnie sam. Gdy więc ten szalik zaplątał się w koło, nikt mu w porę nie mógł pomóc.

„Czy to możliwe, że Matylda wkręciła się w historię śmierci nauczyciela?” – pomyślał Jacek. Jeśli tak było, to musiał koniecznie dobrze spożytkować to jej zainteresowanie.

— Tylko że i ta Hanka, i Sonia twierdzą, że na punkcie bezpieczeństwa Ted miał lekkiego świra. Ponoć kwiatki zdejmował ze ścian w klasie, żeby nikomu na głowę nie spadły. Więc jak ktoś taki mógłby być na tyle nieostrożny,

żeby do konserwacji motocykla brać się, mając długi, luźno zwisający szalik na szyi?

Matylda się nie odzywała przez dłuższą chwilę. Myślała, musiała być gdzieś daleko. Jeśli chciał wykorzystać sytuację, natychmiast musiał coś zrobić. Przyszedł mu do głowy pomysł najprostszy ze wszystkich, choć jednocześnie dający najmniejszą nadzieję na powodzenie.

— A może dałabyś się zaprosić na kawę? Myślę, że ciągle jeszcze umiem robić nie najgorszą.

— Najlepszą w mieście – powiedziała bezwiednie.

— Tak, będzie najlepsza w mieście. A jakbyśmy usiedli w pracowni, tobym szybciotko napalił w kominku – rzucił zachęcająco. – Moglibyśmy spokojnie porozmawiać w cieple.

W końcu spojrzała na niego przytomniej. Może to ta wizja trzaskającego ognia sprawiła, że wróciła do rzeczywistości.

— A wiesz, chyba się skuszę. Tylko że... Chciałabym, żebyśmy byli sami.

— To też da się załatwić.

Dwie pierwsze obietnice udało mu się spełnić szybko i bez problemu. Po tym, gdy wjechał na podwórko, zaprowadził Matyldę do pracowni i sprawnie rozpałił w kominku. Potem przegonił Zosię, którą zwabiło pojawienie się dawno niewidzianego gościa. Na nic zdały się jej protesty i przekonywania, że w zimnym domu nabawi się co najmniej grypy. Następnie przyniósł z Leśniczówki tacę z kubkami z gorącą kawą i ciastkami. Jedynie z trzecią obietnicą był pewien problem. Pedro, gdy tylko zmiarkował, że w pracowni zaraz będzie ciepło, wemknął się tam wraz z Jackiem i czym prędzej ułożył na swoim posłaniu w pobliżu kominka. Nie reagował na żadne komendy ani na obietnicę, że jeśli wyjdzie, dostanie kielbasę Puchacza, której kot bronił jak Częstochowy. Jacek

chciał nawet go wynieść, ale gdy tylko chwycił psa, ten zrobił się bezwładny jak worek kartofli, przez co jego niemała waga jeszcze wzrosła. W końcu dał za wygraną. Dobra strona jego zmagania z Pedrem była taka, że wprawiły one Matyldę w dobry humor.

— Nieźle się tu urządziłeś – powiedziała, rozglądając się po pracowni i rozcierając zmarznięte dłonie. – Całkiem przytulnie.

„Za wiele się nie zmieniło, odkąd byłeś tu ostatni raz” – pomyślał. Pracownia była najstaranniej wyremontowanym miejscem na jego włościach. Poprzedni ich właściciel zamierzał urządzić tu bodaj galerię i dlatego z dużą pieczołowitością zrewitalizował dawny chlewik. Jacek wstawił tu biurko, przy którym naprawiał sprzęt komputerowy, na ścianach powiesił parę obrazków. Lecz tak naprawdę przyjemny klimat był tu dzięki kominkowi i legowisku Pedra.

— Nie narzekamy – potwierdził, wskazując psa. – Mu chyba się tu najbardziej podoba, bo mogłby stąd nie wychodzić.

— Widziałam – powiedziała Matylda z uśmiechem.

Pedro leżał zwinięty w kłębek, ani nie otworzył oka. Nie mógł więc się domyślać, że Jacek właśnie postanowił, że odda mu kielbasę Puchacza, nawet jeśli miałby stoczyć z kotem cięższy pojedynek niż Hektor z Achillesem. Uśmiech Matyldy był warty tak wygórowanej ceny.

— Zatem niestety sami nie będziemy. Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy tego chcieli.

Jego słowa mogły zabrzmieć dwuznacznie. I tak właśnie miało być. Lecz Matylda nie podjęła gry.

— Pedro akurat mi nie przeszkadza – powiedziała rzeczowo. – Myślę, że mimo wszystkich zalet, o których Zosia

mi opowiadała, nie posiadał jeszcze zdolności rozumienia ludzkiej mowy, a przynajmniej powtarzania jak papuga tego, co usłyszy. Bo chciałabym, żeby o tym, co ci powiem, nikt na razie nie wiedział.

— No, nie wiem, czy nas nie rozumie – odpowiedział Jacek z filuternym uśmiechem. – Ale nawet w Wigilię nie słyszałem, żeby mówił. Więc możesz być spokojna, wszystko zostanie między nami.

Matylda przez dłuższą chwilę milczała wpatrzona w nieokreślony punkt na ścianie. W końcu się odezwała:

— Jeśli będziesz kiedyś w Krzywólce, to warto pójść nad Czarną Hańczę. Niedaleko od mostu stoi nad rzeką uroczy młyn wodny. Piętrowy drewniany budynek z dziewiętnastego wieku na kamiennej podmurówce. Wspaniałe miejsce. Czasami właściciele wpuszczają do środka, można zobaczyć urządzenia do mielenia zboża, pewnie nawet zapach mąki jeszcze czuć, choć młyn nie pracuje już od kilkudziesięciu lat. Ale ja nigdy tam już nie zajrzę. – Ostatnie zdanie wypowiedziała grobowym głosem.

Napiła się kawy i ciągnęła opowieść:

— Ciotkę Irenę i wujka Jurka odwiedzaliśmy dość często, jak byłam dzieckiem. Zjeżdżała się cała rodzina. Dom mieli niezbyt wielki, bogato też u nich nie było, zresztą podobnie jak u większości w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, ale że ciotka Irena była bardzo gościnna i wspaniale gotowała, to wszyscy chętnie do niej zaglądali z okazji urodzin czy imienin. Na takim rodzinnym zjeździe zbierało się sporo dzieciaków i młodzieży. Sam wiesz, że wtedy to były inne czasy i nikt z dorosłych aż tak bardzo nas nie pilnował. No więc jak już coś zjedliśmy, to zostawialiśmy dorosłych przy stole, a sami lecieliśmy na podwórko się bawić. Gdy nie

wystarczyło nam podwórka, to szliśmy nad rzekę. Jak wtedy Ted mnie znalazł, do dzisiaj nie wiem... Miałam dwanaście, trzynaście lat, on dwadzieścia kilka. Mimo tej różnicy wieku lubiliśmy się i dogadywaliśmy. Chyba imponowało mi, że taki dorosły traktuje mnie jak równą sobie. Bo podejście do dzieci miał od zawsze. A że lubiłam czytać, to mieliśmy o czym rozmawiać. Opowiadał mi o tym, czego się dowiedział na studiach, a ja słuchałam z otwartą buzią. Ale na tym akurat wrześnieowym zjeździe z okazji urodzin wujka Jurka ledwie się przywitaliśmy. On siedział już z dorosłymi przy stole, a ja, ponieważ było bardzo ciepło, z resztą dzieciaków byłam na zewnątrz. Ktoś wpadł na pomysł, żeby zbudować dom na drzewie. Na podwórku u wujostwa rosło takie drzewo z rozłożystymi grubymi konarami, można było na nie łatwo się dostać, bo właściwie pod nim leżała sterta starych cegieł, wystarczyło położyć na tych gałęziach parę znalezionych w stodole desek i domek był gotowy. Ale chociaż to ja, przynajmniej w swoim przekonaniu, najwięcej do budowy się przyczyniłam, to miejsca w nim dla mnie nie było. Zmiesciły się tam moje siostry, kuzynki, kuzyni, ale nie ja. No to się na nich obraziłam i sobie poszłam. Nogi poniosły mnie w kierunku młyna. Szłam wściekła, kopałam kamienie na drodze. I odgrażałam się, że znajdę sobie lepszą zabawę niż oni. Chyba nie miałam nadziei, że wejdę do młyna, bo zwykle był zamknięty. Ale pewnie liczyłam na to, że w jego pobliżu pobawię się o wiele fajniej niż ta siedząca w ścisku na drzewie banda głupków. Tylko że gdy do niego doszłam, urokliwą alejką nad rzeką z drzewami po obu stronach, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zaczynało się zmierzchać, dom właścicieli młyna był w odległości kilkudziesięciu metrów od niego, nikt nie kręcił się na podwórku, a ja stałam przy

ścianie, za którą nie byłam widoczna. Nie zastanawiałam się właściwie ani chwili. Jeśli udałooby mi się wejść do młyna, pokazałabym tym idiotom moim kuzynom i siostram, że jestem od nich sprytniejsza. Podeszłam do rzeki. Czarna Hańcza to nie Amazonka, a tego lata i jesieni było sucho, więc było w niej mało wody. Żeby młyn mógł pracować, rzeka musi być spiętrzona. W Krzywólce przegroda nie jest duża, woda przepływa przez betonowy próg. Ale przy młynie była betonowa komora, nad którą znajdowała się drewniana przybudówka z turbiną wodną, bo młyn nie miał klasycznego wielkiego koła młyńskiego, lecz stosunkowo niewielką turbinę. Wykombinowałam sobie, że z przybudówki musi być przejście do samego młyna. Wystarczy wejść do komory turbiny, trochę się wspiąć i będę w środku. Komora oddzielona była od rzeki dwiema drewnianymi zastawkami. Oczywiście nie były one na tyle szczelne, by nie przepuściły ani kropli, ale że poziom wody w rzece był niski, po betonowym pochyłym dnie komory sączyły się dwie czy trzy stróżki. Nie groziło mi nawet zmoczenie butów. Przeskoczyłam murek i znalazłam się w komorze. Skierowałam się do turbiny, zajarzałam w spory otwór między ścianą przybudówki a dnem. Zaczęłam rozglądać się w poszukiwaniu wejścia do młyna, gdy nagle usłyszałam za sobą jakiś hałas. Serce mi zamarło. Czy to możliwe, że ktoś otworzył zastawki i do komory wlewały się właśnie hektolitry wody? Gdy się odwróciłam, przekonałam się, że to tylko moja wyobraźnia. Nie groziło mi utonięcie, bo zastawki były opuszczone. Mimo to przyczyna hałasu trochę mnie zaniepokoiła. W komorze stał chłopak i to zetknięcie podeszw jego butów z betonem, gdy do niej wskoczył, wywołało hałas. Znałam go, choć to może za dużo powiedziane. Widywałam go, spotykałam, gdy pojawiałam

się w Krzywólce, i nigdy nie były to miłe spotkania. Był ode mnie parę lat starszy, miał pewnie szesnaście lat. Nazywali go Szajba, może od nazwiska i imienia: Szajkowski Bartosz, choć przezwisko to dobrze do niego pasowało. Niby nie robił nic złego, ale już w samym jego spojrzeniu było coś takiego, że człowiek miał ochotę odwrócić się i czmychnąć. Teraz też chciałam to zrobić, ale nie było dokąd uciec. Za mną była przybudówka turbiny, z której pewnie nie było wyjścia, przede mną stał chłopak, a po bokach znajdowały się dość wysokie betonowe ściany komory. Szajba doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Czego mógł ode mnie chcieć? Trochę się bałam, lecz pocieszyłam się, że pewnie ma zamiar mnie przestraszyć, może przegonić z młyna. Ale mu najwyraźniej chodziło o coś innego.

Matylda przerwała opowieść i spojrzała w okno. Jacek widział udręczenie malujące się na jej twarzy. Choć mówiła płynnie, bez wątplenia nie była to łatwa opowieść. Po chwili znowu ją podjęła:

— Miałam trzynaście lat, ale wyglądałam na parę lat starszą. Gdy moje koleżanki były płaskie jak deski, ja nosiłam staniki dla dorosłych. I on patrzył na mnie jak na prawie dorosłą. Od tego jego spojrzenia zrobiłam się czerwona jak burak, oblał mnie pot. Zaczął od standardowych gadek w stylu, co ja tu robię, czy wiem, że tu nie wolno wchodzić. Odpowiadałam, że chciałam tylko sprawdzić, czy nie da się tędy wejść do młyna, że nic złego nie zrobiłam i już wychodzę. Ale on oczywiście nie miał zamiaru mnie stamtąd wypuścić. Zbliżał się coraz bardziej, a w końcu dopadł mnie, zakrył dłonią usta, żebym nie krzyczała, i zaczął się do mnie dobierać. Szeptał mi do ucha jakieś obrzydliwości, których nawet teraz bym nie powtórzyła. Obmacywał mnie, wsadzał

łapska pod bieliznę, zdierał ze mnie ubranie. Próbowала się wyrwać, krzyczeć, ale on był silniejszy. Groził, że jeśli będę się darła, to mnie zabije. Z każdą chwilą traciłam siły. I nadzieję. Gdy byłam pewna, że nic mnie nie uratuje, gdy leżałam prawie goła w tej komorze, a on dyszał nade mną, nagle poczułam, że przygniatający mnie ciężar znika. Przyczyna tej zmiany stała się jasna, gdy spojrzałam w bok. Chłopak leżał pod ścianą komory, a nad nim stał Ted, który kopał go gdzie popadnie. Szajba starał się osłonić rękami głowę, ale reszta ciała była wystawiona na ciosy. Ted pewnie by go zabił, gdybym słabym głosem nie poprosiła go, żeby przestał i pomógł mi się stamtąd wydostać. W takiej był furii, że usłyszał mnie dopiero za trzecim razem. Ale w końcu się opamiętał. Pomógł mi się pozbierać. Myślałam, że spalę się ze wstydu. Płakałam, a jednocześnie prosiłam go, żeby nikomu nie mówił, co się wydarzyło w młynie. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym przed kimkolwiek do tego się przyznać. Napastnik na zmianę przeklinał, ocierał krew i odgrzązał się, że się z Tedem policzy. W tamtym momencie nic nam jednak z jego strony już nie groziło.

Matylda znowu na chwilę przerwała opowieść. Po policzkach ciekły jej łzy. Momentalnie je otarła i mówiła dalej:

— Ted rzeczywiście nikomu nic nie powiedział. Przeprowadził mnie przez kładkę nad rzeką przy młynie, wróciliśmy do domu przez pola. Wprowadził mnie do niego od tyłu, do swojego pokoju. Tam się doprowadziłam do względnego porządku, uspokoilałam się. Wprawdzie gdy wracaliśmy do Kaletnika, mama przyglądała mi się dziwnym wzrokiem, ale pewnie uznała, że znowu pokłóciłam się z siostrami, jak to się często zdarzało. Prawdę powiedziałam jej dopiero po ładnych paru latach, gdy wróciłam

ze studiów, a ona dopytywała mnie, kiedy sobie w końcu kogoś znajdzie, bo przecież chyba nie chce być starą panną. Tak się zezłościłam, że wykrzyczałam jej, że to może przez to, co się stało przed laty w młynie, jestem taka ostrożna wobec mężczyzn. I w ten sposób się dowiedziała o tym. Ona jedna, bo tata już nie żył, a siostry powychodziły za mąż i nie mieszkaly z nami. Od tej pory Ted, choć zawsze go lubiła, stał się dla niej niemal bogiem. Dlatego gdy się dowiedziała, że nie żyje, przeżyła to chyba gorzej niż śmierć własnego dziecka.

— Nie widziałem jej na pogrzebie – zauważył Jacek.

— W kościele była, na cmentarzu już nie, bo i za zimno, i nie czuła się na siłach. Siostra zawiozła ją do siebie. Ciągłe powtarza, że to niesprawiedliwe, że śmierć zabrała takiego dobrego człowieka w sile wieku. Który tak dbał o bezpieczeństwo. Bo Ted, owszem, zawsze bał się o swoje gardło, zawsze uważał, ale po tych wydarzeniach w młynie stał się jeszcze bardziej ostrożny. Wręcz obsesyjnie. Dlatego gdy powiedziałeś, że Sonia i ta licealistka dziwią się, jak ktoś taki jak Ted mógł pozwolić na to, żeby szalik wkręcił się w koło motocykla... On naprawdę tak na wszystko uważał, że trudno uwierzyć w taki nieszczęśliwy wypadek.

Jackowi w głowie kłębiły się tysiące myśli. Dominująca była ta, że gdyby spotkał gdzieś tego Szajbę, to na pewno nie darowałby mu życia. Mógł sobie tylko wyobrażać, co musiała czuć Matylda, wtedy jeszcze dziecko. Ale z drugiej strony nie mógł się nie zastanawiać, dlaczego właściwie mu tę historię opowiedziała, skoro oprócz niej, Teda i Szajkowskiego znała ją tylko pani Jadwiga. Przecież nie był, przynajmniej ostatnimi czasy, jej najbliższym przyjacielem, nie mówiąc o tym, że kimś więcej. Więc po co mu o tym wszystkim mówiła?

Właśnie otwierał usta, żeby spróbować o to zapytać, gdy Matylda niespodziewanie wstała.

— Pójdę już. Choć tu tak przyjemnie – westchnęła głośno, spoglądając na kominek. – U mnie pewnie zimno jak w psiarni, bo nie włączałam ogrzewania. Jeśli nie chcę nabawić się zapalenia płuc, to powinnam dom trochę nagrzać.

Bardzo korciło go, żeby zaproponować jej nocleg w Leśniczówce. Dobrze jednak wiedział, że nie przyjęłaby jego propozycji, a może nawet opacznie ją zrozumiała. Musiał działać ostrożnie, zorientować się w sytuacji. Nie pozostało mu nic innego, jak także podnieść się z krzesła.

— Odprowadzę cię – zaproponował. – Ściemniło się już.

— Nie ma potrzeby. Pewnie Zosia nie może się ciebie doczekać. Tylko proszę cię: w żadnym razie nie opowiadaj jej tej mojej historii. Możesz mi to obiecać?

— Oczywiście – potwierdził bez wahania. – To może Pedro cię odprowadzić?

Na dźwięk swojego imienia pies otworzył jedno oko. Matylda znowu się uśmiechnęła, a Jacek do obiecaney zwierzakowi kielbasy dorzucił również mleko Puchacza.

— Wątpię, czy będzie chciał. Zresztą nie dziwię się – powiedziała pogodnie, zerkając na kominek.

Pedro dał się jednak skłonić do towarzyszenia Matyldzie, a nawet zrobił to z ochotą. Może dlatego, że odczuwał potrzebę spaceru. Wrócił jednak szybko, co zasygnalizowało szczekanie przed drzwiami Leśniczówki. Stało się to akurat w chwili, gdy Zosia szykowała się do przypuszczenia frontalnego ataku na ojca. Jacek był wdzięczny zwierzakowi za ten ratunek, nawet jeśli tylko chwilowy. Rzucił się do drzwi, wpuścił Pedra, który ociekał wodą, wypadł na podwórko, by zamknąć za psem furtkę. Choć wolałby jeszcze przez chwilę

nie wracać do domu, w którym czekała na niego Zosia, musiał to zrobić, bo deszcz i wichura dawały się we znaki.

— Niech to z taką wiosną – burknął, gdy wszedł do ganczku, w którym córka wycierała Pedra. – Tak, ocieplenie klimatu...

Zosia przestała zajmować się psem i od razu naskoczyła na niego.

— Powiesz mi wreszcie, o co tu chodzi? – zapytała natarczywie.

— O nic – wzruszył ramionami. – Może herbaty byśmy się napili? Straszny ziąb...

— Dlaczego Matylda tu była? – Zosia nie ustępowała.

— A co, to niedobrze, że przyszła? Chyba tego chciałaś, prawda? – spróbował się wywinąć.

— Tak, chciałam – przyznała. – Ale skąd ta nagła zmiana? I co to za tajemnice, że nie mogłam z wami siedzieć? – dopytywała podejrzliwie.

Mógł się domyslać, co jej chodziło po głowie. Ale nie chciał i nie powinien dawać jej, być może, złudnych nadziei, że relacje jego i Matyldy zmieniły się w jakiś radykalny sposób.

— Żadne tajemnice – powiedział obojętnie. – Po prostu chciała pogadać. Razem wracaliśmy, zaczęliśmy rozmawiać...

— Przecież ona pojechała własnym samochodem.

— Ale się zepsuł, pani dociekliwa, więc poprosiła mnie o podwiezienie – rzucił złośliwym tonem. – Nic wielkiego...

— Nic wielkiego? A potem gadacie przeszło dwie godziny na osobności, podczas gdy ja mam sama jeść jakieś resztki sushi? Skąd one w ogóle były?

— No co? Ruszył ją ten pogrzeb kuzyna, to chciała pogadać.

— Akurat z tobą? Dlaczego?

— Może dlatego, że umiem słuchać i nie zadaję głupich pytań – odparował.

— Tak? Ja też umiem słuchać. Tylko że nie mam czego, bo nie odpowiadasz na pytania, nawet najprostsze.

— Niby na które ci nie odpowiedziałem?

Myślała przez chwilę, lecz zaraz się rozpromieniła.

— Skąd to sushi chociażby... Bo to nie to, które zwykle kupujesz.

Jacek zaczynał wpadać w panikę. Córka nadawałaby się na śledczą służb specjalnych ze względu na zarówno upór, jak i dociekliwość.

— Tak, nie to, bo to Sonia je zamawiała – odpowiedział ze złością. – Zamówiliśmy sobie, bo zgłodnieliśmy i zmarzliśmy na tym pogrzebie.

— Jakim pogrzebie? – zapytała zdumiona.

Jacek uświadomił sobie, że dał się podejść jak dziecko. Nie było sensu kluczyć ani kłamać.

— Na pogrzebie Tadeusza Śliwińskiego, Teda – odburknął.

— Byłeś na jego pogrzebie? Nie mówiłeś mi, że się wybierasz.

Pomyślał, że mimo wszystko temat sushi i Soni daje szansę na odwrócenie uwagi od Matyldy i ich rozmowy. Musiał się chwycić tej ostatniej deski ratunku.

— Bo się nie wybierałem. Sonia szła, to jej dawny nauczyciel, jak ci chyba mówiłem. Strasznie zimno było, to pomyślałem, że ją podwiozę na ten pogrzeb, bo jeszcze mi się rozchoruje. Ale może choroby nie da się uniknąć, bo na tym cmentarzu przemarzliśmy do szpiku kości. No to potem odwiozłem Sonię i tę jej podopieczną Hankę, o której też ci chyba wspominałem, do domu. No i zamówiliśmy sushi, zrobiliśmy herbatę i chwilę pogadaliśmy.

— Pogadaliście? – zapytała dociekliwie. – A to z Sonią da się pogadać?

— Wyobraź sobie, że tak. I to nie tylko o rodzajach smoków. O tej śmierci Teda pogadaliśmy. Bo Sonia uważa, że ten zgon wydaje się dziwny, mówiłem ci...

— Ale przekonywałeś, że to głupoty – przerwała.

Dostrzegł szansę na odwrócenie uwagi Zosi od wszystkich kłopotliwych tematów. Musiał tylko szybko sprowadzić rozmowę na żartobliwe tory.

— No wiesz, głupoty głupotami, ale nigdy nic nie wiadomo. Kto wie, może rzeczywiście to nie był nieszcześliwy wypadek? No a jeśli ktoś do śmierci Teda się przyczynił... Przecież morderca często przychodzi na pogrzeb swojej ofiary. – Przeszedł na zupełnie swobodny ton. – No to chciałem się przekonać, czy przypadkiem nie przyjdzie na Bakalarzewską.

— Morderca? I co, był tam? Widziałeś go? – odruchowo zapytała Zosia.

Podstęp udał mu się znakomicie, jak nigdy. Po minie i płonących oczach córki zorientował się, że tym razem udało mu się wywieść ją w pole. Postanowił kontynuować dobrą passę, choć wiązało się to ze sporym ryzykiem. Jeśli chciał go uniknąć, nie wolno mu było dopuścić do tego, by dziewczyna choć przez chwilę sprawę potraktowała poważnie.

— A owszem, widziałem. I to wielokrotnego...

Opowiedział jej o zwariowanej pani Alinie Tkaczenko, która chciała zamordować niewinną młodzież, a przy okazji paru dorosłych. Początkowo rozczarowana Zosia z czasem dała się wciągnąć w jego barwną opowieść o morderczyni i wszystkich barbarzyńskich egzekucjach, którym powinna podlegać. Tak się zaangażowała, że zapomniała o jego tajemniczej rozmowie z Matyldą.

Kawiarniana rozmowa

Następnego dnia do zakładu w Suwałkach wkroczył z nikłą świadomością, gdzie właściwie wchodzi. Nic dziwnego: w nocy prawie nie zmrużył oka, a teraz w głowie kotłowały się tysiące myśli. Musiał coś zrobić, drugi raz taka szansa mogła się nie powtórzyć. Tylko właściwie co powinien uczynić? Czego Matylda od niego oczekiwała, jeśli czegoś w ogóle po nim się spodziewała? Po co podzieliła się z nim swoją historią, w której Ted odgrywał tak dużą rolę? Wiedział jedno: musi działać, nawet jeśli to działanie sapera na polu minowym.

Gdy zamknął za sobą drzwi, Sonia jak zwykle ledwie podniosła głowę znad czytanej książki. A jednak w jej spojrzeniu nie było zwykłej obojętności. Zauważył to, mimo że myśli miał zaprzątnięte czymś innym. Dziewczyna przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

— To mój ostatni dzień pracy? – zapytała z nutą smutku w głosie, zamykając książkę.

W pierwszej chwili zamurowało go. Niby rozumiał poszczególne słowa, lecz sensu pytania nie mógł pojąć.

— Co? – wydukał w końcu. – Ostatni dzień pracy? Dlaczego?

Uciekła wzrokiem gdzieś w bok.

— Widziałam, jak na mnie spojrzała. Widziałam, jak na ciebie patrzyła. Ona zrobi wszystko, żeby być z tobą... z panem. Ale przecież ja... Naprawdę tam było tak strasznie zimno.

— Dziewczyno, o czym ty mówisz? – zapytał zdumiony.
– Kto na ciebie spojrzał?

— Ta kobieta, ta, która stała przy żonie Teda – wydusiła z siebie. – Chce, żebyś mnie wyrzucił z pracy?

— Soniu, czy ty zwariowałaś? – zwrócił się do niej z autentyczną troską. – Dlaczego Matylda miałaby chcieć, żebym cię zwolnił?

— Bo... Ja cię... pana... no, lubię... ale nie... No rozumiesz... A ona pewnie myśli, że mamy romans.

Jacek rozejrzał się niespokojnie. Na szczęście w pobliżu nie było żadnego klienta. Tylko tego mu brakowało, żeby któryś usłyszał o romansie. Wprawdzie ledwie domniemanym... Choć może rzeczywiście Matylda była przekonana, że jest coś na rzeczy?

Zdecydował błyskawicznie.

— Musimy pogadać. Zbieraj się, pójdziemy gdzieś na kawę, porozmawiamy spokojnie. Chyba na Kościuszki powinno być coś otwarte o tej porze.

Jej spojrzenie zdradzało niepokój, lecz postanowił przez chwilę potrzymać ją w niepewności. Dziewczyna tak jak zwykle nie oponowała. Wyłączyła kasę i inne urządzenia, zgasiła światło. Począł na nią i wkrótce, nie odzywając się do siebie, ruszyli w kierunku najbardziej reprezentacyjnej ulicy w mieście, przy której znajdowały się ratusz, największy i najstarszy park, muzeum okręgowe i neoklasycystyczne kamienice z XIX wieku. W jednej z nich, ledwie piętrowej, na parterze mieściła się spora kawiarnia, zaopatrzona

w olbrzymi bar i witrynę wypełnioną różnymi słodczykami. Po dziewiątej nie było w niej wielu klientów, a właściwie byli tylko oni. Wybrali oddalony od innych stolik, stojący w najciemniejszym kącie.

— Proponuję coś dużego, pewnie spędzimy tu trochę czasu – uprzedził.

Usiadła ostrożnie, jakby z obawą, że zaraz stanie się coś strasznego.

Zamówił duży kubek americano i sporego croissanta. Ona wzięła jedynie świeżo wyciskany sok pomarańczowy, tłumacząc się tym, że przed wyjściem do pracy jadła i wypila kawę. Zazdrościł jej. On, chociaż nie spał prawie całą noc, kawy rano nie był w stanie przelknąć. Zosia najpierw patrzyła na niego podejrzliwie, a w końcu zapytała, czy nie jest chory.

Gdy kelnerka przyniosła zamówienie, a potem na dobre sobie poszła, spojrzał prosto w oczy swojej towarzyszce. Musiał w końcu wyjaśnić parę spraw.

— Oczywiście, że cię nie zwolnię – powiedział z naciskiem. – No chyba że sama będziesz miała dosyć mnie i pracy i powiesz, że odchodzisz. Nie zwolnię cię. Jasne?

— Jasne – potwierdziła z ulgą.

— Ale pod jednym warunkiem. – Spróbował przywołać na twarz uśmiech.

Dostrzegł, że znowu się zaniepokoiła. Może pomyślała, że zakaże jej czytać książki albo poleci być miłą dla klientów. Miał nadzieję, że ją zaskoczy.

— Że w końcu przestaniesz mówić do mnie „pan”.

Cel osiągnął. Leciutko się uśmiechnęła. To był dobry początek.

— Możesz mi to obiecać? – nalegał.

— Mogę – zapewniła solennie.

— Ale to nie wszystko, bo jest jeszcze jeden warunek.
— Na moment zawiesił głos. — Nieco mi pomożesz w tym, żeby... No, skoro nasze relacje są jasne... Bo są, prawda? Lubimy się trochę, ale nic więcej, tak?

— Tylko trochę? — zapytała z niespodziewaną przekorą.
Uśmiezek, jaki błąkał się na jej ustach, wskazywał wyraźnie, że się z nim droczy. To było nowe doświadczenie, na dodatek bardzo przyjemne.

— Niech ci będzie: lubimy się więcej niż trochę, ale to nie... No dobra, stary koń jestem, ty raczej też dorosła: nie łączy nas miłość ani przelotny romans, tak?

— Tak — potwierdziła bez żadnego zawahania.

Ulżyło mu. Owszem, z przyjemnością patrzył na dziewczynę, musiałby być chyba z kamienia, żeby nie ulec jej urokowi, ale nie był w niej zakochany. Ani ona w nim. Skoro to stało się jasne, istotna była jej reakcja na prośbę o pomoc. A z całej jej postawy, czy mowy ciała, jak to się w dzisiejszych czasach mówi, wyczytywał zaniepokojenie. Może jednak tylko tak mu się wydawało, może Sonia była tak samo obojętna na wszystko oprócz swoich książek fantasy jak zwykle. Wszak głowę zaprzętały mu myśli, które powodowały, że świata nie odbierał tak jak zazwyczaj. Zaraz miał się przekonać o trafności bądź nie swoich obserwacji. To, co zamierzał zrobić, było szaleństwem i wiedział, na jakie niebezpieczeństwo się naraża. Czy jednak mógł postąpić inaczej, skoro to była prawdopodobnie jedyna szansa, by ukochana spojrzała na niego inaczej niż do tej pory?

— W takim razie nieco mi pomożesz w tym, żeby Matylda... Cóż, może rzeczywiście da się zobaczyć, że jej w jakiś sposób na mnie zależy. Pewnie tak jest, skoro to dostrzegłaś.

No a skoro tak szczerze rozmawiamy, to powiem ci... Co tu dużo mówić, szaleję za nią, zakochałem się w niej po uszy, choć może na pierwszy rzut oka tego nie widać.

— Trochę widać – wtrąciła Sonia.

— Może jesteś na coś takiego uwrażliwiona, ale mnie się zdaje, że nie widać. Bo nasze relacje są dość skomplikowane. Nie pytaj dlaczego. Długo by o tym opowiadać i nie wszystko mógłbym ci powiedzieć. Najogólniej mówiąc, to się wiąże z tym, że Matylda nie popiera wszystkiego, czym się zajmuję. I nie chodzi o moją pracę czy...

— Wiedziałam – powiedziała z niejaką satysfakcją.

Popatrzył na nią przerażony.

— O czym wiedziałaś?

— Że coś kombinujesz. Najpierw odwiedza nas policja, potem każesz mi śledzić jakiegoś gościa w bluzie à la van Gogh, pytasz o jakieś dziwne rzeczy. Ludzie normalnie czegoś takiego nie robią.

Chyba była o wiele inteligentniejsza, niż przypuszczał. Zresztą nie trzeba było być geniuszem dedukcji, by zacząć wiązać ze sobą wydarzenia wynikające z prowadzonych przez niego amatorskich śledztw.

— No właśnie – potwierdził wymijająco. – Ale teraz jest inaczej... Zresztą nieważne. Proszę cię, nie wypytuj, bo nie mogę ci o wszystkim powiedzieć, naprawdę.

— Rozumiem. – Kiwnęła głową.

— Ale być może będę potrzebował twojej pomocy. A nawet nie tyle twojej, ile Hanki.

— Jej? – skrzywiła się. – Jak ja czasami mam dość tej gówniary...

— A o co chodzi? – zdziwił się. – Całkiem sensowna się wydaje.

— Jeśli akurat nie odbije jej na punkcie tej jej Góry Emmanuela i grzechu – mruknęła.

— Na szczęście nie o Górę Emmanuela chodzi, ale o Teda. Być może będę potrzebował paru informacji o nim.

— O Tedzie? – zapytała podejrzliwie. – A po co ci to?

— Na razie nie wiem. Może po nic. I może niczego nie będę potrzebował. Ale... No, to bliski kuzyn Matyldy i taki, jakby to powiedzieć, ulubiony. Byli w bardzo dobrych relacjach. Matyldę bardzo poruszyła ta jego dziwna śmierć. Mocno ją przeżywa.

— Jasne – powiedziała Sonia ze zrozumieniem.

Nie miał wątpliwości, że domyśliła się, co kombinuje, choć on sam nie był tego pewien. Czy naprawdę chciał się wkraść w łaski ukochanej kobiety, przynosząc jej głowę domniemanego zabójcy Teda? Czy taka operacja miała jakiegokolwiek szanse powodzenia? Miał co do tego poważne wątpliwości. A może tak naprawdę pragnął jedynie tego, by po ulicach nie chodził ten, który nie tylko zabił Teda, lecz także chciał skrzywdzić najcudowniejszą kobietę na świecie? Aż się wzdygnął, gdy przypomniał sobie opowieść Matyldy o wydarzeniach w młynie. Ten potwór mógł po latach przypomnieć sobie o zemście na człowieku, który go kiedyś pobił.

— Słyszałaś o kimś takim jak Bartosz Szajkowski, zwany Szajbą? Facet ma pewnie czterdzieści pięć lat, może trochę mniej, może trochę więcej. Pochodzi z Krzywólki, tej takiej jakby wsi w Suwałkach, w której jest stary młyn. Nie wiem, czym się zajmował albo zajmuje... – Zawiesił głos.

Ostatnie zdanie nie do końca było prawdą. Wprawdzie nie miał pewności co do działalności Szajby, ale w Internecie po niemałych trudach dokopał się do pewnych informacji,

które mogły świadczyć o tym, że nie zawsze prowadził on życie przykładnego obywatela.

Sonia zmarszczyła czoło.

— Chyba nie – powiedziała po chwili powoli. – Ale mogę popytać.

— Tylko bądź ostrożna – ostrzegł. – Bo nie chciałbym, żeby coś się komuś stało.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

— Znajomych popytam.

Nie dociekał, kogo miała na myśli. Może znajomych tego chłopaka z gigantycznymi bicepsami, Damiana, który czasami czekał na nią po pracy.

Spojrzał w okno. Ulicą przemykali przechodnie. Nie wiadomo kiedy rozpadał się deszcz, choć gdy tu szli, świeciło słońce.

— Chyba czas wracać do pracy – powiedział z pewnym żalem.

Dobrze mu tu się siedziało przy kawie i w całkiem niezłym towarzystwie. Sonia była widocznie tego samego zdania, bo podniosła się niechętnie. Mieli na sobie kurtki, lecz deszcz lał tak, że nim dobiegli do punktu komputerowego, porządnie ich przemoczył. A jednak oboje nie wątpili, że rozmowa w kawiarni była tego warta.

Wandal cmentarny

Nadal nie wiedział, czego Matylda od niego oczekiwała. Po pamiętnym dniu pogrzebu Teda nie zachodziła do niego, nie dawała jakichś specjalnych oznak przyjaźni czy sympatii, gdy się spotykali. A jednak chyba coś w jej stosunku do niego się zmieniało. Był przekonany, że uśmiechy i spojrzenia są o wiele cieplejsze niż wcześniej. Miał nadzieję, że to nie tylko jego wyobrażenia. Za to Zosia darzyła go ostatnio uczuciami zupełnie odmiennymi.

— Co tam znowu chowasz? – zapytała ostrym tonem.

— Niczego nie chowam – odparował.

To wypieranie się pozbawione było sensu, bo córka widziała, jak w pośpiechu wrzucał do szuflady biurka papierową teczkę. Był jednak tak zaskoczony, że nie zdążył wymyślić innej taktyki obronnej niż zaprzeczanie oczywistym faktom.

— Pewnie – prychnęła ze złością. – I to jest normalne, że od szóstej rano siedzisz przed komputerem? Tato, kogo ty chcesz oszukać?

Trochę zabolaty go jej ostatnie słowa. Może dlatego, że były prawdziwe: rzeczywiście próbował ją ołgać. Na dodatek w mało wyrafinowany sposób. A tego nie chciał. Tyle że na razie nie mógł powiedzieć jej prawdy. Wstał z krzesła

i podszedł do niej. Nim zdążyła się obronić, objął ją i mocno przytulił. Pocałował we włosy.

— Obiecuję ci, że wszystko ci opowiem, o wszystkim będziesz wiedziała. Ale jeszcze nie teraz. Musisz wykazać się na razie pewną cierpliwością. Wiem, nie będzie łatwo, ale proszę cię, żebyś spróbowała.

Nie zamierzała jednak łatwo się poddawać. Odchyliła się i spojrzała mu w oczy.

— To ma związek ze śmiercią Teda, prawda?

— Zosiu, o co cię prosiłem? Nie dopytuj, bo i tak ci nie powiem. Przyjdzie czas, to wszystkiego się dowiesz. Obiecuję. A teraz czas na śniadanie, bo się spóźnisz do szkoły.

Podczas jazdy do Suwałk jego myśli zaprzętała zawartość spoczywającej w biurku teczki. A właściwie kartki. Bo o Bartoszu Szajkowskim, Szajbie, którego nazwisko wypisał drukowanymi literami, na razie niewiele wiedział, mimo że pracowicie przeglądał strony internetowe. Facet tak się nazywający i w odpowiadającym mężczyźnie z opowieści Matyldy wieku był właścicielem kilku dobrze prosperujących kopalń kruszywa w pobliżu Suwałk oraz zakładu betoniarского. Nie pokazywał się w lokalnych mediach czy na jakichś lokalnych imprezach, w Internecie było jedynie kilka jego niezbyt wyraźnych zdjęć. Oczywiście facet, jeśli to rzeczywiście był on, nie wyglądał teraz tak, jak opisała go Matylda. Spuchł, można by powiedzieć, zwłaszcza na brzuchu. Lecz oczy... Rzeczywiście było w nich coś niedobrego. W najdalszych zakamarkach Internetu Jacek znalazł wzmianki, że na przełomie wieków nazwisko Bartosza Szajkowskiego przewinęło się w jakiejś sprawie gangsterskiej, był podejrzewany o bycie członkiem jednego z gangów działających wtedy w Suwałkach, ale wyglądało na to, że niczego

konkretnego mu nie udowodniono. Potem Szajba zniknął na jakiś czas. W jakimś wywiadzie opowiadał, że wyjechał do pracy do Niemiec, gdzie udało mu się zarobić pieniądze, które potem zainwestował w zwirownię. Jacek nie był jednak w stanie odnaleźć informacji, które pozwoliłyby bez wątpliwości ustalić, że ów szanowany biznesmen to ten sam człowiek, który w młodości chciał skrzywdzić Matyldę, a teraz zemścił się na Tadeuszu Śliwińskim za pobicie, a może chciał go również uciszyć na zawsze, by prawda o Bartoszu Szajkowskim nigdy nie wyszła na jaw.

Posadowskiomal nie przegapił skrętu na parking przed domem handlowym, w którym był jego punkt komputerowy. Nagła myśl uderzyła go niczym piorun. Jeśli Szajba zamordował Teda albo zlecił jego zabójstwo, bo chciał usunąć świadka swojego niecnego czynu sprzed lat, to Matyldzie mogło grozić śmiertelne niebezpieczeństwo! Przecież ona też wiedziała, co się wydarzyło w młynie!

Jacek wysiadł z samochodu i bezwiednie ruszył do zakładu. Jego zafrasowana mina nie uszła uwagi Soni. Nie zarejestrował, czy gdy wchodził, czytała książkę, lecz teraz na pewno nie miała jej w ręku.

— Coś się stało? – zapytała z nieco większym niż zwykle przejęciem.

— Nie, nic się nie stało – odpowiedział, starając się przybrać możliwie najbardziej swobodny ton. – Zamyśliłem się. Ktoś coś przyniósł? – zapytał rzeczowo.

Dziewczyna przez chwilę lustrowała go uważnie, lecz w końcu sięgnęła pod kontuar.

— Dzisiaj jakoś słabo, jeden laptop. Ale za to ledwie po gwarancji. Podobno sprzedawca proponował jej przedłużenie, bo te gamingowe lubią psuć się zaraz, gdy kończy się

ochrona producenta, ale klient mu nie uwierzył. No i okazało się, że facet mówił prawdę.

— Dla nas to akurat dobrze, będę miał co robić – mruknął Jacek. – Więcej takich nieufnych by się przydało.

Skierował się do stojącego pod kontuarem pudełka. Sięgając do niego, omiótł wzrokiem niezwykle zgrabne nogi Soni, która dzisiaj była wystrojona w jedną ze swoich spódniczek. Nie walory pracownicy były mu teraz jednak w głowie.

— Soniu, pamiętasz, jak pytałem cię o tego Szajbę? – odezwał się, starając się zasugerować, że pytanie to właśnie teraz przyszło mu do głowy. – To nic ważnego, ale tak mi się przypomniało. Ktoś coś o nim wie, słyszałaś coś?

— Właśnie, miałam ci powiedzieć – ożywiła się Sonia. Od czasu ich rozmowy w kawiarni mówiła mu na ty. – Popytałam znajomych, znajomi popytali swoich znajomych i okazuje się, że są ludzie, którzy pamiętają albo mogą pamiętać pana Bartosza Szajkowskiego, Szajbę z dawnych czasów. Tylko że... No, musiałbyś pogadać z Damianem, on bardziej w tym wszystkim się orientuje. W każdym razie jest jakiś problem.

— Soniu, jaki problem? Możesz mówić jaśniej? – zniecierpliwił się Jacek.

Od razu uświadomił sobie, że tym pytaniem pokazuje, że sprawa nie jest mu obojętna. Ale było już za późno. Dziewczyna zauważyła jego zainteresowanie i patrzyła na niego pytająco.

— No, sama rozumiesz, że trochę mi zależy. Matylda... – Spróbował się uśmiechnąć nieco dwuznacznie.

Nie był pewien, czy Sonia nabrała się na jego manewr, czy tylko udawała, że wyjaśnienie przyjęła za dobrą monetę.

— Chyba nikt za bardzo nie jest chętny do rozmowy – dokończyła myśl. – Ale to Damian więcej wie, z nim byś musiał...

— Dasz mi jego namiary? Skoro nie mam wiele do roboty, to mógłbym od razu z nim pogadać.

Sonia lekko się skrzywiła.

— Teraz i tak z nim się nie spotkasz. Odsypia po pracy. Poza tym lepiej, jak ja z tobą będę. Damian potrafi być trochę gburowaty, jeśli kogoś nie zna. To dobry człowiek – zapewniła pospiesznie, widząc jego zdziwione spojrzenie – tylko nieufny. Zorganizuję spotkanie jak najszybciej. Ale ja też miałabym do ciebie sprawę. Gadałam z Hanką...

— Rozmawiałas z nią? To już nie jest na ciebie obrażona?

— To nie jest zła dziewczyna, czasami trochę zbyt impulsywna. No i ma świra na punkcie tej swojej Góry Emmauela. W każdym razie gadałyśmy i poprosiła mnie, żebyśmy dzisiaj po szkole poszły na cmentarz. Chce znaleźć grób Śliwińskiego, zapalić znicz, pomodlić się...

— Jeszcze jej mało modlitwy? – obruszył się Jacek. – Po tych wszystkich zdrowaśkach na tym mrozie facet na pewno siedzi obok świętego Piotra, jeśli nie wyżej.

Udało mu się nieco ją rozbawić, co nie było łatwym zadaniem.

— Głupio mi było jej odmówić – powiedziała z nieco większą swobodą – skoro niedawno się pogodziłyśmy. Jeszcze znowu by się obraziła. Boi się, że nie znajdzie tego grobu. I tak sobie pomyślałam... Kończy dzisiaj lekcje jakoś tak koło szesnastej. Gdybyś pozwolił mi wyjść wcześniej z pracy... Poszłabym z nią na ten cmentarz, żeby się nie błąkała. Zresztą sama Tedowi też bym znicz chętnie zapaliła. Wiem, że punkt powinien być otwarty, ale...

Mózg Jacka pracował na najwyższych obrotach. Oczywiście przydałoby się, żeby wpadło kolejne zlecenie, a klienci często przychodzili z zepsutymi sprzętami po szesnastej, ale pomysł Soni oznaczał, że mógł upiec nie dwie pieczenie, lecz może nawet kilka przy jednym ogniu.

— A nie byłoby problemem, żebym pojechał z tobą na ten cmentarz? Hankę bym o Teda popytał. A potem może z tym Damianem bym się spotkał? Zakład byśmy zamknęli, powiesiłbym numer telefonu na drzwiach na wypadek, gdyby ktoś miał jakąś pilną sprawę. Mogłoby tak być?

— Pewnie – z ulgą zgodziła się dziewczyna.

Hanka zdziwiła się, gdy pod szkołą zobaczyła nie tylko Sonię, ale również Jacka. Z ochotą wsiadła jednak do samochodu. Na cmentarz nie było daleko, spacer w ciepłe wiosenne popołudnie dobrze by im zrobił, lecz Sonia przekonywała, że do grobu Teda najłatwiej dotrzeć, przechodząc przez nową część cmentarza z wyznaczonymi równymi alejkami, a wejście na nią znajdowało się po drugiej stronie nekropolii. Pojechali więc autem. Jacek zatrzymał się niemal pod cementową bramą, gdyż na sporym parkingu stało ledwie kilka samochodów. Na szczęście było tu również stoisko ze zniczami.

Licealistka uparła się, że kupi lampkę za własne pieniądze. Ku zdumieniu Jacka wybrała otwarty znicz w glinianej miseczce. Nie było gwarancji, że będzie się palił dwa tygodnie, tym bardziej jeśli przyjdzie ulewny deszcz. Hanka chyba zauważyła jego zdziwione spojrzenie, bo poczuła się w obowiązku wyjaśnić:

— Jest bardziej ekologiczny i ładniejszy niż te wszystkie szklano-plastikowe paskudztwa.

Pokiwał głową z aprobatą, wraz z Sonią wybrali podobną lampkę i ruszyli na poszukiwanie grobu polonisty.

Pracownica Jacka musiała tu chyba bywać dość często, bo bez zawahania przeprowadziła ich przez nową część cmentarza, a potem zagłębiła się w kręte alejki starszej. Sprawnie kluczyła między wiekowymi i współczesnymi pomnikami, aż w końcu nie mieli wątpliwości, że doprowadziła ich do celu. Mogiła Tadeusza Śliwińskiego, z drewnianym krzyżem pogrzebowym, obłożona nieco już zwiędłymi wieńcami, wyróżniała się wśród grobów z marmurowymi czy granitowymi krzyżami i płytami. Z daleka widać było również kręcącą się przy grobie kobietę. Jacek miał nawet ochotę zawrócić, bo jasne długie włosy niemal na pewno należały do żony polonisty, a nie chciał jej przeszkadzać. Jego uwagę zwróciło jednak dość dziwne zachowanie kobiety. Z zapalem szorowała krzyż... a raczej przytwierdzoną do niego białą tabliczkę z danymi zmarłego. Sonię chyba też zaintrygowało to nietypowe postępowanie, bo wyraźnie przyspieszyła kroku. Gdy zbliżyli się do grobu, Jacek był pewny, że ma przed sobą żonę nauczyciela. Dostrzegł też, co starała się zetrzeć z tabliczki. Wymienił spojrzenia z Sonią, która musiała pomyśleć o tym samym co on, i natychmiast przystąpił do działania.

— Dzień dobry – powiedział głośniejszym głosem, niż powinien, ale chciał od razu zwrócić na siebie uwagę. – Nie chcielibyśmy przeszkadzać, ale... – Zawiesił głos, licząc na to, że kobieta się odwróci, nie bardzo wiedział bowiem, co mówić dalej.

Jego rachuby okazały się trafne, bo wdowa opuściła rękę ze szmatą i obróciła głowę. Jacek się przestraszył, gdyż twarz, którą widział, prawie nie przypominała tej zapamiętanej z pogrzebu. Gdyby nie charakterystyczne długie włosy z równo przyciętą grzywką, nie poznałby Śliwińskiej. Już na pogrzebie jej twarz była wychudzona i poszarzała. Teraz

jednak nabrała barwy wręcz ziemistej, co w połączeniu z zapadniętymi policzkami nadawało jej upiorny wygląd.

— A pan kto? – zapytała kobieta nieprzyjemnym tonem, ale spojrzawszy na zbliżającą się Hanke, zaraz się zreflektowała. – Przepraszam, myślałam... Zresztą nieważne. Powiedźcie, kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego? – zadała retoryczne pytanie i podniosła rękę ze szmatą, jakby miała zamiar wrócić do przerwanej czynności.

— Proszę zaczekać! – powstrzymał ją Jacek. – Może policja powinna to obejrzeć? Zgłosiła to pani?

— A po co? Kogo interesuje, że ktoś coś nabazgrał na krzyżu? Mają ważniejsze sprawy.

— Ale może to nie jest takie nieważne. Co tu było napisane? – dopytywał Jacek, przyglądając się napisowi na tabliczce. Ktoś czarnym markerem czy flamastrem w jednym wierszu napisał „Mat”, a w drugim „18:6”. W pierwszym wyrazie kobiecie udało się jednak zmyć jedną czy więcej liter.

— Nie wiem. Wytarłam dwie litery, choć łatwo nie jest... – odpowiedziała wzburzona wdowa.

— A jakie to były litery? – włączyła się Sonia. – Bo wie pani, może ten napis coś znaczy...

— Nie pamiętam. – Kobieta nieco złagodniała. – Chciałam to jak najszybciej zetrzeć. Dobrze, że miałam zmywacz do paznokci. Chyba „h” tam było... Tak mi łyzy ciekły, że niewiele widziałam.

— Nie dziwię się. Ale jest pani pewna, że „h”? – dopytał Jacek.

— Tak, raczej na pewno „h”.

— A ta druga litera? – dociekała Sonia.

— Nie pamiętam – ucieła wdowa i podniosła rękę ze szmatą.

Jacek zadawał sobie sprawę z tego, że przekonywanie będącej w takim stanie Śliwińskiej do zgłoszenia sprawy policji nie ma najmniejszego sensu. Chciała jak najszybciej usunąć ślady profanacji grobu męża i było to zrozumiałe. Dał oczami znak swoim towarzyszkom, by o nic już nie wypytywały. W tej sytuacji nie pozostało im nic innego jak dyskretnie zapalić znicze. Wyglądało na to, że Hanka straciła cały zapal do modlitwy. Kobieta widocznie nabrała wprawy w zmywaniu bazgrołów, bo już kończyła czyszczenie tabliczki. Jacek uznał, że mogą się pożegnać.

— Kto mógł coś takiego zrobić? – zapytała przyciszonym głosem oburzona Hanka, gdy nieco się oddalili od mogiły.

— Może jakiś skrzywdzony przez niego, przynajmniej we własnym przekonaniu, uczeń – wysnuł przypuszczenie Jacek.

— To niemożliwe – energicznie zaoponowała licealistka.
– Wszyscy go lubili, wręcz uwielbiali.

— Każdy ma jakichś wrogów, a nauczyciel, choćby był idealny, najwięcej.

— Hanka ma rację. – Sonia przyszła w sukurs podopiecznej. – Poza tym zwróć uwagę, co tam było napisane: jakieś „Mat” i „osiemnaście dwukropek sześć”. Gdyby to był uczeń, to napisałby coś... bardziej wyrazistego i dosadnego.

Zastanowił się. Argument był celny. Młodzi ludzie zazwyczaj bez ogródek i prostymi, by nie powiedzieć: prostaczkimi, słowami wyrażają swoje uczucia.

— Czyli uważasz, że ten napis to nie zwykłe bazgroły wściekłego gówniarza, ale coś znaczącego, napis z przesłaniem? – zapytał.

— Tak mi się wydaje – potwierdziła Sonia.

— Wiedziałam! – wykrzyknęła Hanka. – Wiedziałam, że Ted nie zginął przypadkiem.

— Ej, ej, koleżanko, nie rozpędzaj się za bardzo – mitygował Jacek. – Tu nie ma na razie żadnego związku. Nie mamy żadnego dowodu na to, że ten napis nabazgrał domniemany morderca Śliwińskiego. Może po prostu jakiś wandal cmentarny miał świetny pomysł na zabawę.

— Nie, to musi coś znaczyć – upierała się Hanka.

Rozważania toczyli jeszcze w samochodzie. A także wtedy, gdy we trójkę znaleźli się w mieszkaniu Soni.

— Osiemnaście dwukropek sześć... – zastanowił się Jacek. – Może to wynik meczu? Ale czy Tadeusz Śliwiński miał coś wspólnego ze sportem? Z jakimiś meczami? Może był sędzią i skrzywdził jakąś drużynę?

Dziewczyny przecząco pokręciły głowami.

— Jedynie motocykle lubił – powiedziała Sonia. – Ale nie wiem, czy to można nazwać sportem.

— Jak to nie można? – oburzył się Jacek. – A żużel?

— Żużel w Suwałkach? Piłka, badminton to tak, ale nie żużel – sceptycznie mruknęła Sonia. – Nic nie było słyhać o jakichś jego związkach ze sportem – powiedziała i spojrzała pytająco na licealistkę. Ta skinęła potakująco głową.

— Dajmy spokój tym rozważaniom – zniecierpliwił się Jacek. – Ten Damian to już...

Przerwał, bo Hanka nie była wprowadzona w sprawę ewentualnego związku Szajby ze śmiercią Śliwińskiego, a nie miał zamiaru jej wtajemniczać. Popatrzyła na niego, a potem na Sonię dziwnym wzrokiem, w którym Jacek wyczytał dezaprobatę. Nigdy nie miał najlepszego zdania o ludziach, którzy przewalali tony żelastwa w siłowniach. Spojrzenie Hanki świadczyło o tym, że ona również. Jacek pomyślał, że jego rozmowa z Damianem nie będzie należała do najprzyjemniejszych, i już zaczynał się jej bać. Teraz

musiał jednak jak najszybciej odwrócić uwagę Hanki od chłopaka Soni i kwestii Szajby. Na szczęście w tym momencie doznał olśnienia.

— Ale ja jestem głupkiem! – Palnął się dłonią w czoło. – Może to „osiemnaście dwukropek sześć” to jakieś działanie matematyczne? To znaczy dzielenie?

— No jasne! – ożywiła się Hanka. – Osiemnaście podzielić na sześć.

— A to „Mat”? – sceptycznie zapytała Sonia.

— A „Mat” to matematyka! – Licealistka błyskawicznie wymyśliła odpowiedź.

Jacek skonstatował, że pod względem zapału i znajdowania momentalnie oczywistych rozwiązań, choćby najbardziej absurdalnych, jest bardzo podobna do Zosi.

— No tak – mruknął. – Tylko że żona Śliwińskiego mówiła, że w tym słowie było też „h”. Coś tu nie gra...

— Może się pomyliła – włączyła się Sonia. – Taka była rozemocjonowana, że mogła się pomylić. Może tam było „e” i „m”. „Matem”. Wandal się spieszył i nie dokończył napisu.

— Zanim przyjmiemy, że się pomyliła, załóżmy, że mówiła prawdę. „Mat” plus „h” to...

— *Maths!* – wykrzyknęła Hanka. – Po angielsku „matematyka”.

— Matematyka? Coś w tym może być. Tylko co by to miało oznaczać? „Matematyka osiemnaście podzielić na sześć”? Jakies bez sensu.

Mniej lub bardziej prawdopodobnych teorii na temat znaczenia napisu stworzyli kilka, jeśli nie kilkanaście. Wśród nich była też taka, że to zaszyfrowany adres: ulica Matematyczna 3. Problem w tym, że ani w Suwałkach, ani w żadnej miejscowości w pobliżu nie było ulicy o takiej

nazwie. W końcu Jackowi i Soni udało się zmęczoną Hankę wyprawić do domu, dzięki czemu mogli umówić się z Damianem.

*

Jacek zdziwił się, bo miejsce, do którego zmierzali, było w pobliżu domu handlowego, w którym znajdował się jego serwis komputerowy. Po przeciwnej stronie ulicy Noniewiczza w wybudowanej niedawno czteropiętrowej sporej kamienicy, z elewacją wyłożoną imitacją cegły i z dużymi oknami, na pierwszym piętrze mieścił się klub „Zapomnienie”. Prawdopodobnie Jacek w żadnym wypadku nie zostałby tam wpuszczony, gdyby nie towarzystwo Soni. Na jej widok stojący przy wejściu bykowały ochroniarz od razu się odsunął, ale Posadowskiego zatrzymał. Dopiero interwencja dziewczyny sprawiła, że zdjął potężne łańsko z jego ramienia i uprzejmie zaprosił do środka.

Ciemne wnętrza, rozświetlone jedynie halogenami podświetlającymi wiszące na ścianach duże banery z podobiznami różnych muzyków oraz rzędem świateł nad barem, było jeszcze właściwie puste. Na jasnej kanapie w kącie siedział oparty o poduszki Damian. Na widok Soni poderwał się, podszedł do niej i obdarzył soczystym pocałunkiem prosto w usta. Gdy już się przywitał z ukochaną, obrzucił Jacka krytycznym spojrzeniem.

— To jest Jacek Posadowski, mój szef – wyjaśniła Sonia.

— Wiem przecież – mruknął osilek, wyciągając niedbale rękę w kierunku informatyka. – Damian.

Jacek się spodziewał, że facet ma siłę. Nie przewidział jednak, że jego dłoń znajdzie się w imadle. Miał wrażenie, że usłyszał chrobot łamanych kości.

— Siadajcie – mruknął Damian, wskazując kanapę.

Sam rozparł się na niej wygodnie i objął ramieniem Sonię, która usiadła blisko niego. Jacek wołał usadowić się nieco dalej od mężczyzny, poza zasięgiem jego rąk.

— Mogło być gorzej – powiedział Damian.

— Z czym? – odważył się zapytać Jacek.

— Trochę siły masz – odpowiedział osilek.

Co prawda Jacek nie uważał, by tak było, ale poczuł pewną dumę.

— Jak się ma stary dom, to człowiek musi mieć siłę: drewna trzeba narąbać, nanosić, coś przynieść, coś przenieść...

— Tak... – mruknął Damian i z czułością spojrział na Sonię, a ona odwzajemniła jego spojrzenie.

Patrzyli sobie w oczy dłuższą chwilę, a Jacek poczuł, że ogarnia go coś w rodzaju zazdrości. Tak, miał Matyldę, był w niej zakochany, ale ile by dał, żeby kiedykolwiek Sonia spojrzała na niego tak jak na tego faceta. Dziewczyna chyba w końcu się zorientowała, że nie przyprowadzi Jacka tu po to, żeby był świadkiem ich czułości. Odsunęła się nieco od Damiana i powiedziała:

— Kotku, miałeś powiedzieć panu Jackowi, czego udało ci się dowiedzieć o Szajbie.

Informatyk musiał włożyć dużo wysiłku, by nie parsknąć śmiechem, bo słowo „kotek” do osiłka pasowało jak pięść do nosa.

— Popytałem na mieście – rzucił niedbale Damian. – Szajba prowadzi obecnie interes...

— Wiem – przerwał Jacek. – Ma żwirownię i fabrykę betonów...

Damian zmierzył go takim spojrzeniem, że od razu zamilkł.

— ...Ma kilka kopalni kruszywa i fabrykę betonów. Kruszywo teraz potrzebne, betony, pustaki i cegły też, więc na brak kasy nie może narzekać. A mimo to żyje dość skromnie, ma dom na nowym osiedlu w Suwałkach, ale bez szaleństw, żona ta sama od ładnych paru lat, dzieci już duże, spokojne. Żadnych drogich samochodów, może ewentualnie jakaś działka nad jeziorem. Ludziom podobno bardzo przyzwocie płaci. Wiadomo, zawsze jest ktoś, komu coś się nie podoba, ale ogólnie wszyscy raczej dobrze o nim mówią. Do kościoła chodzi co niedzielę, bardzo zaangażowany chrześcijanin.

Damian przerwał opowieść i znowu zatopił wzrok w Soni. Jacek nie śmiał go popędząć. Liczył na to, że za jakiś czas siłacz będzie kontynuował relację. Musiał poczekać ze dwie, trzy minuty.

— Ale facet raczej ma na sumieniu jakieś grzeszki z przeszłości. Znajomi wskazali mi gościa, który ponoć zna Szajbę z dawnych czasów i może coś o nim opowiedzieć. Tylko że ten człowiek... Byłem u niego. Stary menel. Mieszka w takiej walącej się chałupince na Wigierskiej, pokręcony jakiś, cały się trzęsie. Choć przyznam, że gadał całkiem z sensem.

Damian znowu przestał opowiadać, by przytulić i pocałować Sonię. Jacek miał ochotę wrzasnąć na niego, ale potężny biceps skutecznie go zniechęcał do realizacji tego zamiaru.

— Stanowczo zastrzegł, że będzie gadał tylko z tym, kto chce się czegoś dowiedzieć o Szajbie, bo musi wiedzieć, po co mu to. Nawet próbowałem go trochę przycisnąć, ale powiedział, że mu już na życiu nie zależy i choćbym go zabił, nic mi nie powie. Będziesz musiał sam do niego pojechać. Wskażę ci, gdzie i kiedy.

Facet ponownie całą swoją uwagę skupił na Soni. Gdy trwało to dłużej niż poprzednio i nic nie wskazywało na to, że kiedyś się skończy, Jackowi nie pozostało nic innego jak opuścić „Zapomnienie” i wrócić do domu.

*

Dopiero w samochodzie przypomniał sobie o Zosi. Zdziwił się, że do tej pory do niego nie zadzwoniła. Nie napisała też żadnej wiadomości. Przez całą drogę wyrzucał sobie, że przez to całe zamieszanie ani razu do niej się nie odezwał.

Mimo to był w niezłym nastroju. Wyglądało na to, że sprawy zmierzają w dobrym kierunku i być może wkrótce dowie się czegoś o śmierci Teda, a przede wszystkim tego, czy Szajba ma z nią coś wspólnego i czy coś grozi Matyldzie.

Nie spodziewał się tego, że tak naprawdę zagrożone jest jego życie. Bo Zosia nie zamierzała niczego owijać w bawełnę.

— To może do sierocińca mnie oddaj, skoro nie masz czasu mną się zajmować? A może Matylda mnie adoptuje, skoro nic cię teraz nie obchodzi? – wykrzykiwała.

— Ej, nie przesadzasz aby? – próbował się bronić. – Dobrze wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza...

— Tak? To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, gdzie byłś tyle czasu? To taka jestem dla ciebie najważniejsza?

Uzmysłowił sobie, jak bardzo Zosia przypomina Kingę. Nie kłócili się często, właściwie wcale, ale jeśli tak się zdarzało, żona nie miała dla niego litości. Trochę już o tym zapomniiał, teraz córka mu to przypominała. Na dodatek chyba miała poparcie Puchacza, który groźnie na niego łypał ze swego miejsca na parapecie. Jacek w myślach obsztorcował kota: skoro jesteś domowojem i nienawidzisz kłótni, to popatrz też na nią tym swoim karcącym wzrokiem, w końcu

to ona wrzeszczy, nie ja. Zwierzak, jeśli nawet odczytał jego myśli, zupełnie się nimi nie przejął, bo zdawał się spojrzeć na niego jeszcze surowiej. Nawet w Pedrze nie mógł znaleźć oparcia, bo pies skulił się na podłodze i sprawiając wrażenie tego, który nie wie, co się dzieje, trwożliwie spoglądał to na Jacka, to na Zosię, to na Puchacza.

Informatyk ciężko westchnął. Tak to właśnie wyglądało: najpierw wszyscy przeciwko niemu, a jak przychodziły kłopoty, to wtedy ty ratuj. Ale zdawał sobie sprawę, że śledztwa przed córką nie ukryje.

— Grzebałaś w szufladzie w moim biurku? – zapytał niespodziewanie.

— Oczywiście, że nie – zaprzeczyła z oburzeniem, ale jakby o parę milisekund za późno.

Pewnie mówiła prawdę, ale zawahanie wskazywało, że musiała bardzo ze sobą walczyć, żeby nie przetrząsnąć szuflady. A może nawet ją otworzyła, żeby chociaż zobaczyć, co tam jest.

— Przynieś tę teczkę stamtąd – polecił – a ja w tym czasie zrobię herbatę i coś do jedzenia.

W czasie, który poświęcił na przygotowanie posiłku, a następnie zaspokojenie pierwszego głodu, zdążył się zastanowić, jak poprowadzić rozmowę.

— Nie będę ściemniał – zaczął zdecydowanym tonem. – Matyldzie może grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Co? – Jego słowa zrobiły na Zosi takie wrażenie, że omal nie rozlała herbaty. – Matyldzie?

— Tak, właśnie jej – potwierdził. – Dawno temu, gdy była jeszcze dzieckiem, wydarzyło się coś strasznego. Nie mogę ci opowiedzieć, o co dokładnie chodziło, bo mi zabroniła, ale... No, najogólniej mówiąc, człowiek nazywany

Szajbą, wtedy jakiś szesnastolatek, chciał jej zrobić coś złego, a Ted stanął w jej obronie i strasznie tamtego pobił.

— Ted strasznie go pobił? – zapytała z niedowierzaniem.

— Tato, to niemożliwe, on by muchy nie skrzywdził.

— Niestety możliwe. Gdybym był na jego miejscu, zrobiłbym tak samo.

Opowiedział jej wszystko, czego do tej pory dowiedział się o Bartoszu Szajkowskim, zarówno sam, jak i od Damiana.

— Tato, prowadzisz śledztwo beze mnie? – wypaliła z pretensją.

— Nie prowadzę żadnego śledztwa. Chcę się tylko upewnić, że Matyldzie nic nie grozi.

— Akurat. Ale teraz masz lepszych partnerów niż ja, prawda? Już ci nie jestem potrzebna, bo masz Sonię i Damiana?

Musiał użyć wszystkich sił, by powstrzymać się przed wypowiedzeniem słów, które cisnęły mu się na usta.

— Nie przesadzasz aby? Sonię poprosiłem tylko, żeby spróbowała czegoś się dowiedzieć o Szajbie. No i z zadania wywiązała się znakomicie. Kiedy miałem ci o tym powiedzieć?

— A zamierzałeś w ogóle?

Zmieszał się. Trafiła w punkt.

— Może jeszcze nie dzisiaj, ale kiedyś na pewno. Zrozum, nie prowadzę żadnego śledztwa. Chcę tylko mieć pewność, że Matylda jest bezpieczna.

— Tato, przecież sam mówiłeś, że nie wiadomo, czy śmierć Teda nie jest wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Jeśli nie został zabity, to Matyldzie raczej nic nie zagraża.

Popatrzył bezradnie na Puchacza, który zdawał się spoglądać na niego z politowaniem.

— Bo jest coś jeszcze – powiedział z ciężkim westchnięciem.

Opowiedział jej o wyprawie na cmentarz i tym, co tam się wydarzyło.

— Jak mogłeś mnie ze sobą nie zabrać! – wybuchła. – Coś takiego, a ja tego nie widziałam.

— Nie posuwasz się trochę za daleko? – Spróbował ją przystopować. – Wybrałem się, żeby zapalić znicz, nie wiedziałem, że spotkam tam Śliwińską zmazującą z krzyża jakieś bazgroły. Zresztą wszystko, czego mogliśmy się dowiedzieć, to wiemy.

— Ja bym na pewno się dowiedziała, co znaczy ten napis. Bo on musi coś znaczyć, jestem tego pewna.

— Może tak, może nie – mruknął sceptycznie. – Pora chyba spać...

Córka zerwała się i pobiegła do swojego pokoju. Wkrótce wróciła z notesem i długopisem.

— Jak chcesz spać, to idź. Ale napisz mi tu wszystko, co było na tym krzyżu. Tylko dokładnie. Pomyślę, co by to mogło znaczyć, poszukam.

— A ty przypadkiem nie idziesz jutro do szkoły? Lekcje odrobione, wszystko nauczone?

— Tak, wszystko nauczone, miałam całe popołudnie, kiedy na ciebie czekałam. A jutro mam na dziesiątą, bo dwie pierwsze lekcje odwołane.

Mógł zajrzeć do dziennika elektronicznego, żeby sprawdzić, czy to prawda. Ale był tak zmęczony dniem, że mu się nie chciało. Mógł też pogonić córkę do snu, ale po pierwsze, wiedział, że nic to nie da, bo i tak nie będzie spała, jeśli nawet będzie leżała w łóżku, a po drugie, wołał, żeby czymś się zajmowała, niż na niego wrzeszczała. Przynajmniej na razie.

Spojrzał na Pedra, który zadowolony, że skończyła się awantura, łasił się do niego. Mógł psa wypuścić na podwórkę, a potem go wpuścić, ale doszedł do wniosku, że przed pójściem spać musi przemyśleć pewną sprawę. Zapisał Zosi żądane przez nią informacje i wyszedł z Pedrem na zewnątrz. Zwierzak, przyzwyczajony do tego, że wieczorem zazwyczaj biegał po ogrodzonym podwórku, zdziwił się, że tym razem przeszli przez bramkę, za którą biegła ścieżka prowadząca do jeziora. Noc była jasna i gwiazdzista, więc odcinająca się od ciemnej ściany lasu jasna tafla jeziora była bardzo dobrze widoczna. Spokojne wody połyskiwały w świetle księżyca. Uradowany pies pobiegł w ich kierunku. Jacek podążył jego śladem.

Co on znowu wyprawiał? Nie pies, tylko on, Jacek Posadowski, ojciec dorastającej córki. Za każdym razem, gdy podejmował któreś ze swoich amatorskich śledztw, omal nie przyplącał tego życiem, przy okazji narażając na niebezpieczeństwo Zosię. Właśnie przez to jego upodobanie Matylda oddaliła się od niego. Kolejne dochodzenie mogło nie tylko zagrozić bezpieczeństwu jego i córki, lecz także spowodować, że ukochana kobieta już nigdy na niego nie spojrzy. Jeśli jednak groziło jej takie samo niebezpieczeństwo jak Tadeuszowi Śliwińskiemu, jeśli Szajba czyhał na jej życie, to i tak ją straci, o ile czegoś nie zrobi, by zażegnać niebezpieczeństwo. A bez niej coraz trudniej było mu żyć. Zresztą może ona też się bała? Może zdawała sobie sprawę z tego, co może jej grozić? Czy o wydarzeniach w młynie opowiedziała mu bez powodu? Może spodziewała się, że ją ochroni? Oczywiście jest policja. Tylko z czym właściwie by się do niej zgłosił? Z przekonaniem, że Ted nie mógł zginąć w tak głupi sposób, bo zawsze był wręcz przesadnie ostrożny, i że

bazgroły na jego nagrobku coś znaczą? Pierwszy lepszy posterunkowy by go wyśmiał. Musiał znaleźć coś konkretnego, jakiś dowód, którym policja nie mogłaby się nie zająć. Musiał ochronić Matyldę.

Z tym postanowieniem wrócił do domu, mimo że Pedro domagał się, żeby jeszcze trochę mógł pobiegać nad jeziorem. Gdy zmierzał do łóżka, smuga światła wydobywająca się spod drzwi pokoju Zosi dobitnie świadczyła o tym, że dziewczyna pracuje pełną parą.

Kamień zawiesić u szyi

Miał zamiar pospać trochę dłużej, lecz przyzwyczajony do porannego wstawania organizm na to nie pozwolił. Obudził się, gdy tylko pierwsze promienie słońca wpadły do pokoju. Pedro też już był na nogach, więc rad nierad wyszedł z nim na spacer. Potem wziął się do przygotowywania śniadania, ciągle w myślach przekonując się do słuszności podjętej wczoraj decyzji. Przy tych właśnie czynnościach zastała go Zosia, która wpadła do kuchni zupełnie przytomna i rozbudzona.

— Nie śpisz już? To dobrze, bo muszę ci coś pokazać – wypaliła.

— Hola, hola, a może śniadanie byśmy najpierw zjedli?

Jego pytanie zatrzymało dziewczynę, która już zawracała do swojego pokoju.

— Tato, ale to ważne. Musisz to zaraz zobaczyć.

Nie miał siły protestować. Nim skończył robić herbatę, córka wróciła z laptopem i papierami. Na szczęście w wiejskiej kuchni mieli wystarczająco duży stół, by zmieściły się na nim śniadanie oraz przyniesione przez Zosię rzeczy. Dziewczyna postukała w kartkę długopisem, który trzymała w prawej dłoni. W lewej miała kanapkę.

— Pół nocy nad tym pracowałam, ale jest rezultat – powiedziała z dumą.

— Mówiłem, żebyś szła spać – skarcił ją, ale na tyle słabym głosem, by w ogóle tego nie zauważyła. Musiał przyznać, że ciekaw był, co córce udało się znaleźć.

— Nie do końca ja sama, bo ta Hanka trochę mi pomogła...

— Hanka ci pomagała? A jak ty ją namierzyłaś? – zapytał Jacek, choć domyślał się odpowiedzi.

— Napisałam do Soni, a ona dała mi kontakty do Hanki. Napisałam do niej, odpowiedziała i dalej już poszło.

— A do czego ci ona była potrzebna?

— Oj, tato, jaki ty jesteś czasem niedomyślny – westchnęła Zosia. – A przesłuchanie wszystkich świadków zdarzenia, bo każdy mógł zauważyć inne szczegóły? Podstawy prowadzenia śledztwa.

— To także Sonię powinnaś przesłuchać, bo może ona też coś spostrzegła – rzucił ironicznie.

— Oczywiście, że ją też zapytałam – odparowała z oburzeniem. – Ale nie powiedziała niczego więcej niż ty.

— A Hanka coś więcej dostrzegła?

Zosia uśmiechnęła się chytrze.

— W zasadzie to nie. Ale może po kolei. Najpierw, zanim skontaktowałam się z Sonią i Hanką, kombinowałam tak samo jak wy. „Mat osiemnaście dwukropek sześć” – to musiało być coś matematycznego. Dzieliłam, mnożyłam i nic nie wychodziło. Tak samo jak Hance. Już miałyśmy dać sobie z tym spokój, gdy nagle Hanka wrzasnęła – bo wtedy akurat gadałyśmy na Discordzie, to znaczy ja gadałam, a ona słuchała – „Mam!”. Jak mi potem opowiadała, ciągle jej się zdawało, że gdzieś już to „Mat” widziała. I gdy przymknęła oczy

i bezwiednie przeczytała to jako „mat osiemnaście sześć”, to ją olśniło: to siglum biblijne...

— Co biblijnego? – zapytał Jacek zdumiony tym, że córkę posługuje się takim słownictwem.

— Nie wiesz? Odsyłacz biblijny – wyjaśniła Zosia. – Jak się chce napisać, że coś znajduje się w rozdziale pierwszym, wersji pierwszym Ewangelii Mateusza, to się pisze „Mt jeden przecinek jeden”.

— No tak, wiem – potwierdził.

— I to nasze „Mat osiemnaście dwukropek sześć” to siglum biblijne...

— Zaraz, moment – przerwał. – Ale sama przed chwilą powiedziałaś „jeden przecinek jeden”. Czyli gdyby to było to siglum, to powinno być napisane „osiemnaście przecinek sześć”, a nie „osiemnaście dwukropek sześć”.

— Ale Hanka twierdzi, że można to też zapisać z dwukropkiem. A ona się na tym zna, bo należy do takiej grupy religijnej Góra Emmanuela, bardzo zresztą fajnej, trochę mi o niej opowiadała, dużo ciekawych rzeczy robią. I w ich materiałach sigła biblijne często właśnie tak są zapisane. Protestanci stosują taki zapis, katolicy stawiają przecinek.

— To ta Góra Emmanuela to protestanci? – zdziwił się Jacek, który po rozmowie w mieszkaniu Soni był przekonany, że to grupa katolicka.

— Chyba katolicy. Ale nieważne. Ważne, że wiemy, że to siglum...

— A pisanie „Mat” zamiast „Mt” to też protestanckie? – zapytał.

— Nie. Ale pamiętasz, że pani Śliwińska mówiła, że w tym „Mat” były jeszcze dwie litery, w tym jedna to prawdopodobnie

„h”? No i jak dostawiłyśmy to „h”, a wiedziałyśmy już, że to odnośnik biblijny...

Zosia wskazała zapisane na kartce słowo „Matth”.

— Obie litery miały być wysokie – wyjaśniła. – A „Matth” to łaciński skrót Ewangelii Mateusza.

Jacek z zainteresowaniem przyjrzał się notatkom córki. Rozumowanie było ciekawe. Ale czy wnioski prawidłowe? Wzrok bezwiednie przesunął mu się na zapisany poniżej równym pismem tekst. I wtedy go zmroziło. Córka coś mówiła, ale on tego nie słyszał. Jeszcze raz przeczytał notatkę. Nie, nie mogło być pomyłki.

— Co to jest? – zapytał głuchym głosem, wskazując tekst.

Zosia podniosła głowę, zaskoczona jego reakcją. Przyglądała mu się z uwagą.

— Fragment Ewangelii Mateusza, do którego odsyła siglum: „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza”. I to by się nawet zgadzało...

— Co by się zgadzało? – zapytał Jacek, którego serce biło jak oszalałe.

— No jak to co? Zawieszanie na szyi – wyjaśniła, ale w jej głosie pojawiła się niepewność. – Ten kamień trzeba by było czymś przywiązać do szyi, czyli sznur, a tu zamiast sznura szalik, ale też zaciśnięty na szyi...

Jacek w myślach policzył do dziesięciu. Musiał się uspokoić. To na pewno był czysty przypadek, że w cytacie pojawiło się odniesienie do młyna. Zosia miała rację. Jeśli rzeczywiście napis na krzyżu był siglum biblijnym i przekazem od mordercy, to właśnie takie było jego wytłumaczenie: wskazanie czegoś zawiązanego na szyi. Tylko że były pewne ale.

— Jakaś daleka ta analogia. – Sceptycznie pokręcił głową. – Po co ewentualny morderca informowałby, w jaki sposób zabił Teda?

— Nie wiadomo, jaką logiką kierował się ewentualny morderca – odrzekła Zosia. – Wiesz, że czasami bywa ona dosyć pokrętna. Tylko że to nie wszystko.

Dziewczyna ożywiła laptop.

— Patrz, co znalazłam – powiedziała cicho.

Odwróciła komputer tak, żeby oboje mogli widzieć ekran. Wyświetlał się na nim artykuł, w którym autor pisał, że wskazany wers często był wykorzystywany do potępiania pedofilów, a nawet do usprawiedliwiania kary śmierci wobec nich.

— Od razu mi to wyskoczyło, jak wrzuciłam ten fragment w wyszukiwarkę. Zresztą więcej tego jest.

Jacek z zakłopotaniem potarł policzek. Cóрка oczywiście dobrze wiedziała, co to jest pedofilia. Pewnego razu pół dnia wkładał jej do głowy, że gdyby ktokolwiek w niewłaściwy sposób ją dotykał, to ma natychmiast mu o tym powiedzieć. Jego zakłopotanie wynikało z czego innego: z tego, że poczuł ulgę. Może potencjalny morderca Teda nie komunikował, że to zemsta za to, co się wydarzyło lata temu w młynie, ale że polonista został ukarany za swoje skłonności seksualne. Nie był dumny z tego, co czuł.

— Pedofilia... Niezły kłops – mruknął. – Rozmawiałaś o tym z Hanką lub Sonią? Słyszały coś na ten temat?

— Zapytałam Hankę. Twierdzi, że to niemożliwe, że on taki nie był.

Jacek westchnął. Nauczyciel nie byłby pierwszym, ani pewnie też ostatnim przypadkiem przykładowego obywatela, który okazał się perwersyjnym przestępcą.

— Zapytam Sonię. Ale zanim to zrobię... No, Internet prawdę ci powie – mruknął, odwracając do siebie laptop. – Najpierw baza pedofilów...

Lecz Internet nie przyniósł odpowiedzi na żadne pytanie. Nazwisko Tadeusza Śliwińskiego nie występowało ani w bazie pedofilów, ani w żadnym innym miejscu w Internecie, w którym były informacje o przestępcach seksualnych.